Nr. 65. Lwów, Niedziela dnia 24. Listopada 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Władek spojrzał w górę.

— Ot i dzień! — wyrzekł — tam, het precz z tego lasu co naprzeciw miasta stoi, słońce wyszło!

— Czy słońce z lasu wychodzi? — zapytała Marcysia.

— Z lasu — odpowiedział poważnie — tam naprzeciw miasta, het precz za polami, jest taki las z którego słońce codzień wychodzi.

— A potem co?

— Potem? czyż nie widzisz co? świeci na niebie.

— A potem?

— Potem... no zachodzi za miasto, zachodzi... zachodzi... i niknie. Jak niknie to wtedy noc robi się...

Dziewczynka zamyśliła się i po chwili zapytała znowu:

— A czy ty wiesz dokąd ono idzie?

— Kto? słońce? dokądże iść ma? pod ziemię sobie idzie i śpi.

— Aha! — tonem tryumfu ciągnęła Marcysia — ale czy ty wiesz jak słońce śpi?

— A jak ono ma spać? — odpowiedział — zwyczajnie... oczy zamknie i śpi.

— Otóż nie! otóż nie! — uderzając pi... jednej ręki w dłoń drugiej zawołała ...ka — słońce śpi w takiej wielkiej, ... kołysce, przy kołysce siedzi morze ... noc kołysze słońce, żeby dobrze ...lo leżą gwiazdy ale nie śpią, bo ...e przyleciał ten smok co konno ...i i nie zjadł słońca, bo jakby ...e, nigdyby już dnia nie było, żyto by nie rosło, zwierzęta by poumierały a ludzie pozjadaliby po ciemku jedni drugich...

Gdy opowiadała, Władek patrzał na nią z ciekawością i zdziwieniem.

— A zkąd ty to wiesz? — zapytał.

— Matka mówiła; mnie matka czasem mówi takie śliczne, śliczne bajki.

— Aha! — rzekł Władek z namysłem — to bajka.

— No — dodał wstając — chodźmy do miasta!

Marcysia podskoczyła z radości.

Poszli. Gdy wchodzili na most zwieszony nad rzeką przedzielającą przedmieście zarzeczne z miastem, Marcysia bardzo lękać się zaczęła. Było tam dużo ludzi idących i jadących na targ wozów i koni. Władek wziął ją za rękę i tłómaczyć jej zaczął wszystkie niezrozumiałe dla niej a jemu dobrze już znane zjawiska.

— Ot — mówił — to jest rzeka, a to czółna co przewożą ludzi z jednego brzegu do drugiego, a to łódki płyną... rybaki na nich siedzą i ryby łowią... no! nie bój się! koń cię nie ukąsi... a ten chłop nie na ciebie krzyczy...

Stanął i śmiać się zaczął do rozpuku.

— Aj! aj! aj! Franek! — wołał — aj, aj! jaki ten Franek zabawny! ściągnął chłopowi z woza ser i uciekł... a chłop nie wie gdzie ser podział się i wrzeszczy... ot żebym tylko potrafił tobym też ściągnął... ale jeszcze nie dostanę ręką tak daleko...

Poszedł dalej i pociągnął za sobą Marcysię. Idąc, mruczał z cicha więcej do siebie jak do niej.

— No, że szczęśliwy to szczęśliwy ten Franek! taki wielki ma ser! jak tylko podrosnę jeszcze trochę i ja tak samo potrafię...

Marcysia pokazywała mu na coś palcem a tak była zachwycona, że słowa przemówić nie mogła. Zrozumiał nakoniec, że przedmiotem jej zachwytu był stojący u wyjścia z mostu stragan z obwarzankami, bułkami i chlebem. Przed godziną zjedli wprawdzie po kawałku chleba, ale teraz na widok rozłożonego na straganie pieczywa uczuli oboje, że są bardzo głodni. Stanęli przed straganem i wlepili oczy w przedmioty tak dla nich ponętne, że Władkowi aż usta drzeć zaczęły, a wielkie oczy Marcysi napełniły się łzami. Przy straganie siedziała przekupka i argusowemi oczami strzegła towaru swego przed tłumem, który falą wielką napływał z mostu, a śród którego zwijali się tu i ówdzie chłopcy bosi, obdarci z giętkiemi ciałami i przebiegłym wzrokiem i dziewczyny chude, rozczochrane, cierpiące a chciwe spojrzenia rzucające dokoła.

— No — szepnął Władek do towarzyszki swej — chodźmy! nic my tu nie wskóramy! ta wiedźma pilnuje swoich bułek jak dyabeł potępionej duszy!

Było to już własnością chłopca tego, że gdy tylko czuł się rozjątrzonym, zaczynał mówić o dyabłach i żółtawe brwi drgały mu nad ostro błyskającemi oczami. Marcysia ocierała sobie piąstką załzawione oczy.

— Przestań mazać się! — krzyknął na nią — jak jeszcze raz zapłaczesz, rzucę cię tu i rób sobie sama co chcesz! Mażesz się żeś bułki nie dostała... no, i mnie jeść chce się jak wszystkim djabłom, a czy beczę! rozum lepszy jak beczenie! zobaczysz! wracając kupim sobie kilka bułek...

Poszli dalej.

On miał wtedy lat ośm, ona pięć. Jego ubranie składało się z szarawarów płóciennych, krótkiego spencerka i grubej koszuli szeroko u piersi rozwartej, jej z sinej płócienkowej spodniczki przepasującej koszulę związaną u szyi brudną czerwoną tasiemką. On, na ciemnych krótko ostrzyżonych włosach miał czapkę zmiętą, wyplamioną i tak dla niego dużą, że co chwilę zsuwała mu się na oczy, ona nie miała na głowie nic, prócz włosów gęstych, jedwabistych, które gładkiemi pasmami spływały na jej ramiona i świeciły pod słońcem jak gorąco roziskrzone złoto. Oboje byli bosi.

Tak, trzymając się za ręce, weszli na ludne i pełne już ruchu ulice miasta. Tu, u wstępu zaraz, zabiegła im drogę gromadka

chłopców, na czele której znajdował się Franek, ów, tak zręcznie ściągający sery z wozów chłopskich.

— Władek! Władek! — wołali z daleka — chodź na rynek... chłopi z wozów brukwie i marchwie gubią... takie smaczne...

Jakoż w rękach każdego prawie z malców znajdowała się surowa brukiew lub marchew.

Spostrzegłszy Marcysię Franek zawołał.

— A to co za panna?

— To Marcysia! — z powagą odpowiedział Władek i z całej siły uderzył pięścią jednego z chłopców, który przyskoczywszy, chciał uszczypnąć dziewczynkę w ramię.

Zaczęłaby się bójka, gdyby nie to, że środkiem ulicy przejeżdżał opakowany i pocztowemi końmi zaprzężony powóz, za którym chłopcy pogonili, czepiając się tylnych żelaztw jego, wieszając się na nich i po ujechaniu tak kawałka drogi na bruk spadając.

Władek i Marcysia zmierzali ku rynkowi. Nie znaleźli już żadnej marchwi ani brukwi, lecz w zamian Władek podniósł z bruku i starannie schował za koszulę brudny i przydeptany kawałek niedopalonego papierosa. Marcysia zapomniała o głodzie i przyglądała się mijanym ludziom, domom i wystawom sklepowym, gdy nagle Władek targnął ją za rękę i prędzej iść zaczął. Dziewczynka zdążała za nim z całej siły drobnych stóp swych, aż dogoniwszy niemłodego mężczyznę, w dostatniem ubraniu, idącego chodnikiem, kroku zwolnili i Władek przyciszonym, monotonnym głosem mówić zaczął:

— Panie Wielmożny! dobrodzieju najmiłosierniejszy! miej litość nad biednemi, opuszczonemi sierotami! rzuć grosik na kawałeczek chleba! daj proszącym, żebrzącym i z głodu umierającym...

Mężczyzna nie odwracał się; Władek zasłoniwszy się ręką od przechodniów, wystawił za nim język, potem wnet znowu zaczął:

— Panie Wielmożny! dobrodzieju najdobrotliwszy! biedne, głodne, nieszczęsne sieroty! rzuć okiem miłosierdzia...

Tym razem, przechodzień sięgnął do kieszeni i nie odwracając się prawie, rzucił na wyciągniętą małą rękę, miedzianą monetę. Władek pokazał ją Marcysi.

— Widzisz! — szepnął, będzie już za to jedna bułka dla mnie... a ty kiedy chcesz mieć także bułkę, proś tak jak ja...

I pociągnął ją w stronę, którą przechodziła pani jakaś z łagodną, dobrotliwą twarzą.

W parę godzin potem, znajdowali się oboje w głębi małego podwórka, którego brama wychodziła na cichy, błotnisty zaułek. Siedzieli na bruku pokrytym grubą warstwą śmiecia, w kątku utworzonym przez dwie murowane ściany z opadającym tynkiem i czarnemi plamami wilgoci, pod okratowanemi z wewnątrz oknami jakiejś zapewne śpiżarni. Jedli bułki a Władek nauczał Marcysię rozpoznawania pieniędzy!

— Widzisz! — mówił pokazując jej na dłoni kilka miedzianych monet — to trzy grosze, a to dwa, a to grosz... trzeba żebyś dobrze przypatrzyła się i wiedziała potem co dostajesz i wiele za bułkę albo za co innego zapłacić... ot ta pani, tam pod Farą dała dziesiątkę... Ona zawsze daje... dobra jakaś... to też ja wiele razy ją zobaczę, zaraz do niej lecę... Już ja tu wszystkich znam, kto daje a kto nie daje... i z twarzy rozpoznać umiem... kiedy widzę, że nie da, to i nie idę... i ty tak rób...

— Kiedy ja nie potrafię! — zauważyła Marcysia.

— Ej potrafisz! nauczysz się! i ja kiedyś nie umiał a teraz widzisz...

— A kto ciebie nauczył? — zapytała.

— Ot kto? nikt! sam nauczyłem się... jak inni tak i ja... słuchałem jak pod kościołem dziady proszą... Oni zawsze tak proszą: „Wielmożny Panie! dobrodzieju najmiłosierniejszy!“ Słuchałem, słuchałem i nauczyłem się...

Po chwili namysłu dodał:

— Już to Franek to najsprytniejszy? On mnie opowiadał wszystko tak jak ja tobie teraz opowiadam... i... chciał mnie nauczyć wyciągać panom chustki z kieszeni... bo on to umie... ale ot, jabym wolał gołębie uwodzić jak chustki wyciągać... jak podrosnę jeszcze i *przewodnika* sobie wyhoduję, będę gołębie uwodził...

Marcysia słuchała ostatnich słów Władka jak bajki o żelaznym wilku. Nie rozumiała jeszcze wtedy zupełnie co to jest przewodnik, uwodzenie gołębi i jaka z tego może być korzyść lub przyjemność. Widać jednak było, że rozum towarzysza imponował jej niezmiernie, bo zachwycone oczy wlepiła w twarz jego ruchliwą, to powagi pełną, bo błyskającą gniewem, to znowu wykrzywiającą się swawolnie i zabawnie.

Zjadłszy bułkę wstali i poszli znowu ku rynkowi, aby za otrzymaną od „dobrej pani“ dziesiątkę, kupić sobie możność popatrzenia na łamane sztuki, pokazywane pod namiotem przez ulicznych skoczków. Tam, brzmiała niesforna muzyka skrzypiących i dudniących instrumentów, cisnęła się szara i hałaśliwa publiczność, Franek uwijał się śród tłumu upatrując kieszeni z chustką, która tam trudną była do znalezienia, a gdy pajace w żółtych czapkach wyskakiwali na błotnistą arenę, Marcysia oburącz trzymając się ramienia Władka, który z ciekawości i rozradowania zapomniał o niej, drżała od stóp do głowy z trwogi i rozkoszy.

Słońce zachodziło już gdy wracali do jaru. W chacie Wierzbowej palił się na stole łojowy, dymiący kaganek, przez oświetlone żółtem światłem okna widać było kilka osób, kobiet i mężczyzn, siedzących na ławach przy stole, na którym znajdowała się butelka z wódką i kilka czarek. Pośrodku, pod ścianą, niska i gruba Wierzbowa siedziała w wielkiej chustce na ramionach i białym czepcu na głowie, a naprzeciw niej dwie dziewczyny młode lecz mizerne, umawiały się z nią o coś i zarazem hałaśliwie przekomarzały się z mężczyznami wyglądającymi na lokajów lub stangretów i nalewającymi im wódkę do czarek. Władek zajrzał do wnętrza domku przez oba z kolei okienka a potem rzekł do Marcysi:

— Pójdźmy do naszej własnej chaty.

— A gdzie nasza chata? — zapytała.

— Ot tam.

Wskazał jej głąb jaru, którą śród zmroku uścielać już zaczynały białawe mgły. Siedli nad sadzawką i odpoczywali chwilę w milczeniu. Potem, gdy w koło nich zmrok stawać się zaczął coraz gęstszym, Władek zauważył:

— Ot i poszło już sobie spać.

— Słońce? — zapytała Marcysia.

— A słońce. Leży już gdzieś sobie w czerwonej kołysce, a gwiazdy kładą się przy niem, żeby nie dopuścić do niego smoka... Szkoda, że nie można pójść zobaczyć tej kołyski i jak to morze wygląda co przy niej siedzi... poszedłbym i ciebie bym zaprowadził.

— Czemu nie można? — zapytała znowu dziewczynka.

— No a jakże? żeby tak człowiek szedł, szedł, szedł, to jakby na sam koniec ziemi przyszedł i chciał dalej jeszcze iść, toby tak buchnął... ot naprzykład, jak ze stołu. Mnie nawet dziw wielki, że słońce nigdy nie spadnie i nie stłucze się.

— Aha! — tryumfującym głosem zawołała Marcysia — bo jego tam morze czeka, na ręce bierze i do kołyski niesie.

Władek myślał chwilę.

— Dobrze jemu, temu słońcu — rzekł — mnie nikt nigdy do kołyski żadnej nie zanosił...

— A twoja matka nie zanosiła?

Chłopiec pochylił się tak nisko nad brzegiem sadzawki, iż zdawało się, że mówi nie do Marcysi ale do wody.

— Moją matkę *na mogiłki* (cmentarz) zanieśli jak tylko ja urodził się...

— A ojciec twój nie zanosił? — pytała dalej Marcysia.

Władek znowu mówił do wody.

— On mnie nigdy nie nosił, tylko wziął i zaraz do ciotki tu przywiózł...

— A ciotka nie zanosiła?

Władek podniósł twarz z nad wody i pięść ścisnął.

— Ona by mnie nosiła! wiedźma ta! ona tylko krzyczeć, łajać i szturchać umie!

I nagle zapytał:

— A twoja matka nosi ciebie do kołyski?

— Czasem nosi — odpowiedziała — i tak całuje...

Urwała i cichutkim szeptem dodała po chwili:

— Wczoraj wybiła...

— To całuje, to bije... — zauważył Władek — a jeść tobie zawsze daje?

— Kiedy trzeźwa to daje, a kiedy pijana to...

— Aha! u mojej starej ludzie często wódkę piją i upijają się... wrzeszczą wtedy, kłócą się i moją starę łają... a czy twoja matka bajki tobie opowiada kiedy pijana czy kiedy trzeźwa?

— Kiedy trzeźwa. I piosenek różnych wtedy mnie uczy... i czasem tak płacze... tak płacze!...

Władek milczał chwilę, potem rzekł z namysłem:

— Dobre jakieś kobiecisko, ta twoja matka... choć pijaczka... chciałbym ja choć taką mieć!... a gdzie twój ojciec?

— Nie ma — odpowiedziała Marcysia.

— Jakto nie ma? zmarł?

— Nie zmarł... tylko wcale nie ma...

— No to jakże?

I zadumał się głęboko.

— Aha! — zawołał po c[illegible]
zrozumienia — już wiem. To [illegible]
matka męża nie ma.

— Aha! — przytwierd[illegible]

— Ano – rzekł Wład[illegible]
jedno. Bo ot u mnie jest ojc[illegible]

Wyciągnął się na mo[illegible]

oparł o sęk wystający z pnia wierzbowego i westchnął głośno.

— Bieda! — rzekł.

— Bieda! — przywtórzyła Marcysia opierając brodę na dłoni i kołysząc w obie strony malutką swą postać.

W ten sposób opowiedziawszy sobie wzajem historye istnień swych, umilkli. Władek pierwszy przerwał milczenie.

— Opowiedz no jaką bajkę — rzekł.

Dziewczynka myślała chwilę.

— Może o sierotce? — zapytała.

— Dobrze — sennym głosem odpowiedział chłopiec.

Marcysia po chwili namysłu czy przypominania sobie mówić zaczęła:

— Między trawą, rutką taką zieloną... i... pokrzywą, człowiek znalazł raz na grobie sierotkę nieżywą...

Ostatnie wyrazy wymówiła wolniej i nie zupełnie wyraźnie. Morzył ją sen. Usiłowała jednak mówić dalej i obu piąstkami przecierając sobie oczy zaczęła znowu. Tam... na tym grobie... nad sierotką... brzózka... zkądciś się za-sia-ła...

Przy ostatniej zgłosce piąstki odpadły jej od oczu, pochyliła się i z głową opartą o pierś śpiącego już Władka, usnęła.

Wynurzające się z wilgotnego gruntu gęste białe pary, owijały uśpione te dzieci, jak w mokre pieluchy, stare wierzby rzucały na nie głęboki cień, śród którego biegły urywane szelesty, nad otworem jaru przelatywały po ciemnem niebie kręte błyski spadających gwiazd.....

Był to pierwszy nocleg Marcysi pod wierzbami, w jarze, tak jak dzień poprzedzający upamiętnił się jej pierwszą wycieczką do miasta. Od tego czasu, chodziła tam z Władkiem najczęściej, lecz czasem i sama, a na noc wtedy tylko nie przychodziła do jaru, gdy zimno było bardzo albo gdy matka zatrzymywała ją w chacie pieszczotą, piosnkami i bajkami, albo jeszcze gdy chodzącą po mieście sen zmorzył pod ścianą kościoła, pod drzewem lub wysokim parkanem jakiego ogrodu.

Tak upłynęło jej życie do lat dziesięciu.

(C. d. n.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSCHBERGA.

(*Ciąg dalszy.*)

Na tronie polskim zasiadał Zygmunt I, jeden z najszlachetniejszych monarchów, których pamięć przechowały nam dzieje, mąż tak idealnej zacności charakteru, iż raczej skłonny był do zbytniego pobłażania, niż skory do surowości, a wcale już niezdolny do wyrządzenia krzywdy, do „zhań-[illegible]nia“, jak się wyrażają autorowie memoryału, [illegible]ierwszych swych dostojników, niczem [illegible]cego na tego rodzaju poniżenie. [illegible]vs w jego charakterze tem bar[illegible]u na uwagę, że Zygmunt dale[illegible] od owej słabości, jaką wskutek [illegible]dznaczał się w ostatnich latach swego panowania. Wprawdzie minęły już czasy najświetniejsze, ów pierwszy okres jego rządów, w którym wielki ten monarcha dał tyle dowodów rzadkiej bystrości umysłu i niepospolitej energii, jednak w r. 1525 lub w latach następnych nie podobna mu przypisywać uległości, mogącej go doprowadzić do czynu tak niesprawiedliwego.

Osobisty stosunek króla do Kościeleckich jeszcze bardziej wyklucza wszelkie tego rodzaju przypuszczenia. Wiadomo bowiem, jak bliskie węzły łączyły Zygmunta z bratem wojewody Andrzejem, podskarbim i kasztelanem wojnickim, mężem Katarzyny Telniczanki. Kobieta ta niepospolitej piękności przez długi czas była przedmiotem stałej i najszczerszej miłości Zygmunta; z nią to przepędził on najszczęśliwsze swe lata na zamku głogowskim, a związek ten zerwał tylko dla tego, aby wejść w śluby małżeńskie i pozostawić narodowi prawowitego potomka. Wówczas ożenił się z Telniczanką Andrzej Kościelecki. Zbyteczną byłoby dowodzić, jak dalece małżeństwo to musiało zbliżyć króla do podskarbiego, co oczywiście i dla dalszych członków jego rodziny tylko korzystnie mogło usposobić Zygmunta.

Wśród takich stosunków czy podobna przypuścić, aby szlachetny ten monarcha mógł wojewodzie tak wielką wyrządzić krzywdę, zwłaszcza, że równocześnie dał mu dowód swej łaski królewskiej, mianując go jednym z pierwszych dostojników Rzeczypospolitej? Czy można posądzić o to Zygmunta, o którym zresztą sami obrońcy Kościeleckiego powiadają, że „dotąd“ nikogo niezasłużenie nie pozbawił urzędu i nie poniżył?

Przypuszczenie to upada zatem przy bliższem rozpatrzeniu się: arcybiskup, gdyby nawet posiadał jeszcze swe dawne wpływy u dworu, nie zdołałby nakłonić króla do czynu tak niesprawiedliwego. Tak więc memoryał przeciwników prymasa nie jest aktem obrony przeciw zniewadze zagrażającej Kościeleckiemu. Nie był on też wyrazem osobistej sympatyi i szlachetnego oburzenia, jak go usiłowali przedstawić jego autorowie, lecz przeciwnie, pobudek, jakie nimi kierowały w skreśleniu tego pisma, należy szukać w zupełnie innem uczuciu. Jakiego zaś rodzaju były te pobudki, nie trudno odgadnąć, jeżeli pomijając nawet szczegóły drobniejsze, rozważymy w postępowaniu ich tylko jeden rys najbardziej charakterystyczny.

Wrzekomi obrońcy Kościeleckiego, chcąc go ochronić od grożącej mu krzywdy, udają się z swą prośbą do królowej. Fakt ten dziwnie uderza wobec panujących wówczas stosunków na dworze polskim, a przedewszystkiem niechęci Bony do arcybiskupa. Autorowie memoryału nie uznali za rzecz stosowną przedstawić sprawę pokrzywdzonego ich zdaniem wojewody samemu królowi, lecz woleli starać się o protekcyą królowej. Widocznie nie chodziło im tu o rzecz słuszną i sprawiedliwą, gdyż w takim wypadku najskuteczniejszej pomocy mogli się spodziewać od samego Zygmunta. Skoro więc nie do niego zwrócono się z tą prośbą, usiłując natomiast pozyskać poparcie Bony, już to samo rzuca na nich pewien cień niekorzystny. Nasuwające się tu podejrzenie zamienia się prawie w pewność, że właściwie jakaś intryga musiała być celem tych wrzekomych obrońców, jeżeli zważymy usposobienie Bony dla prymasa i pobudki, jakie ją zwykle skłaniały do udzielenia swej protekcyi. Wiadomo przecież, że przewrotna ta Włoszka używała swych wpływów albo za sowitem wynagrodzeniem, albo też kierując się względami osobistej sympatyi lub antypatyi. W tym wypadku nie podobna było wątpić, za kim się oświadczy królowa, zwłaszcza wobec jej głębokiej niechęci do Łaskich [1]). Tem pewniej mogli się spodziewać jej pomocy autorowie memoryału i dla tego to nie do Zygmunta, lecz do niej zwrócili się z swą prośbą. Tej niechęci więc królowej do prymasa i tak potężnego już wówczas wpływu jej u króla chciano użyć w walce z arcybiskupem. Za pośrednictwem Bony zamierzali jego nieprzyjaciele nakłonić Zygmunta do cofnięcia pomienionego nadania i upokorzyć w ten sposób Łaskich. Oto właściwy cel memoryału. Nie podyktowały go więc ani przyjaźń dla wojewody poznańskiego, ani też szlachetne oburzenie z powodu jego czci niesłusznie zagrożonej, gdyż nic mu pod tym względem nie groziło, jeno uczucie zawiści do prymasa i antagonizm względem jego rodziny.

Za takiem tłomaczeniem tego aktu przemawia jeszcze jedna nader ważna okoliczność. Memoryał nie odniósł skutku zamierzonego [2]). Mimo wpływu królowej i starań kilkunastu z senatorów, z których niektórzy pierwsze miejsce zajmowali w radzie królewskiej, nie zmienił Zygmunt swojego postanowienia, nie odebrał Łaskiemu starostwa malborskiego. Świadczy to najwymowniej, że nadając je Hieronimowi żadnej krzywdy nie wyrządził Kościeleckiemu, że przejście starostwa w nowe ręce miało nastąpić bez ujmy lub pokrzywdzenia dla wojewody. Tak więc owe obawy i skargi wrzekomych jego obrońców nie były niczem innem, jak czczą deklamacyą, mającą posłużyć do tem lepszej osłony właściwych pobudek, tj. zawiści i niechęci do Łaskich.

Historya memoryału wybornie charakteryzuje nieprzyjaciół prymasa, odsłaniając ich liczbę, znaczenie i wpływy potężne, a zarazem drogi i środki, jakich używali w walce z przeciwnikiem. Zaciekłość ich, posuwająca się aż do intryg tego rodzaju, nie pozostała bez wpływu na samego arcybiskupa: nie złamała ona jego energii, nie zniewoliła do odstąpienia od ambitnych planów, lecz odwrotnie, drażniąc jego dumę pobudzała do tem śmielszego działania, do użycia nawet takich środków, przed którymi zapewne byłby się cofnął sędziwy starzec, dążąc do swych celów spokojnie i bez roznamiętnienia. Usposobienie to tłomaczy nam poniekąd jego późniejszą uległość dla wojewody sieradzkiego i udzielenie mu pomocy w jego planach awanturniczych i dla tego to nieco obszerniej przedstawiliśmy epizod niniejszy z historyi owej walki, jako najlepiej malujący jej charakter i znaczenie. Tylko w ten sposób wywołane rozdrażnienie mogło doprowadzić arcybiskupa do czynów tak sprzecznych z jego dostojeństwem kościelnem, tylko w tym czynniku,

[1]) Nieprzychylne to usposobienie jej dla arcybiskupa było niewątpliwie dziełem Tomickiego i jego przyjaciół, którzy starając się jak najbardziej podkopać stanowisko Łaskiego nie omieszkali zapewne oświecić królowej o projektowanem przezeń małżeństwie Zygmunta z księżniczką mazowiecką i opozycyi przeciw podobnemu związkowi z Boną. Udzielenie jej tych wiadomości nie chybiło zamierzonego celu: nienawiść królowej do prymasa była tak wielką, iż nie tając się z nią wcale, publicznie wyrażała się o nim w sposób, nader wymownie świadczący o jej dla niego usposobieniu. Ciekawe pod tym względem szczegóły znajdujemy w liście Tomickiego, pisanym w kilka miesięcy później (Acta Tomic. T. IX. Nr. CXIII).

[2]) Hieronim utracił starostwo malborskie dopiero w r. 1528. Wynika to z odpowiedzi, danej wówczas przez Zygmunta I. na legacyę Zapolyi w tej sprawie (Acta Tomic. Kod. Sap. T. VII. k. 124a).

*

częstokroć tak potężnym w sprawach ludzkich, możemy znaleść klucz do rozwiązania zagadki psychologicznej, jaką niewątpliwie jest udział prymasa w usiłowaniach ambitnego i nie przebierającego w środkach Hieronima.

Plan upokorzenia arcybiskupa i jego rodziny, jakkolwiek dość zręcznie ułożony, nie powiódł się wówczas, dzięki sprawiedliwości Zygmunta, nie dającej się zachwiać mimo wpływów Bony i kilku z najznakomitszych senatorów. Niebawem jednak sam Hieronim postępowaniem swem ułatwił przeciwnikom wykonanie tego zamiaru.

Umysł jego niespokojny, pełen ambicyi i gwałtownych pragnień, nie mógł wśród ówczesnych stosunków w Polsce znaleść dla siebie dość szerokiego zakresu działania, dość sposobności do zaspokojenia swej niczem niepohamowanej żądzy władzy i rozgłosu. Dla człowieka tej miary jak Hieronim Łaski potrzeba było sytuacyi, któraby mu dozwoliła w całej pełni rozwinąć niepospolite jego zdolności, nieustraszoną odwagę i szaloną prawie energię, bystrość umysłu i nieporównaną zręczność dyplomatyczną, — sytuacyi, w której odważając się na wszystko, możnaby największe położyć zasługi, ale zarazem sięgnąć po najwyższą władzę i największą nagrodę [1]). W Polsce stosunki ówczesne nie przedstawiały warunków, w których osobistość tego rodzaju mogłaby znaleść dla siebie odpowiednie pole działania. Na to potrzeba było państwa z śmiałą polityką na zewnątrz, albo przynajmniej zostającego w wielkiem niebezpieczeństwie, zagrożonego wojną domową lub walką o życie i śmierć z zewnętrznym nieprzyjacielem—jednem słowem stosunków, wśród których jedna potężna osobistość może olbrzymie oddać usługi, uzyskać nowe wielkie zdobycze i okryć współobywateli niespożytym blaskiem sławy i świetności, lub wyprowadzić naród z trudnego położenia i ocalić jaką wielką, świętą sprawę. Tylko w takich stosunkach mogły niepospolite zdolności Hieronima pełnym zajaśnieć blaskiem, tylko wśród tego rodzaju sytuacyi mógł on szybko wznieść się po nad innych współzawodników. W Polsce nie można było wówczas łudzić się nadzieją, żeby podobna chwila wkrótce mogła nadejść. Zygmunt I. już od kilkunastu lat porzucił swą dawną śmiałą politykę: brak poparcia u własnych poddanych i konieczność ciągłej walki ze szlachtą o zaspokojenie najnaglejszych potrzeb skarbu przekonały go o trudności, a nawet niebezpieczeństwie wszelkich śmielszych dążeń na zewnątrz. Z powodu takiego usposobienia klasy panującej w narodzie oględny ten monarcha wolał raczej starać się o zachowanie dobrych stosunków z sąsiedniemi państwami, a zwrócić całą swą uwagę na ekonomiczne podniesienie kraju, ulepszenie organizacyi miast i wogóle sprawy wewnętrzne, niż bez nadziei pomyślnego skutku narażać Polskę na niebezpieczne kolizye i zawikłania. Wobec tego rodzaju opinij, panujących na dworze polskim, wobec przeszkód, jakie usiłowaniom prymasa stawiało stronnictwo przeciwne czy podobna się dziwić, że człowiek z takim charakterem jak Hieronim Łaski, gotów był choćby po za granicami Rzeczypospolitej poszukać dla siebie odpowiednich warunków działania, choćby w usługach obcego monarchy dobijać się sławy i dostojeństw? (C. d. n.)

[1]) Dokładną charakterystykę Hieronima i uzasadnienie zdania powyższego podamy w osobnej monografii tego słynnego dyplomaty.

O ZASYPIANIU I BUDZENIU SIĘ

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

(Ciąg dalszy.)

Ta względność, którą zaznaczyliśmy w spostrzeżeniu Stewarta, wypływa z natury uwagi i z natury snu, w ich wzajemnem porównaniu. Sen jest osłabieniem świadomości — uwaga jej wzmocnieniem; o tyle więc są przeciwne sobie. Ale zarazem uwaga jest zwężeniem łańcucha skojarzeń duchowych — a sen jest także podobnem zwężeniem, i o tyle się schodzą ze sobą, i o tyle uwaga monotonnie wytężona może nawet sprzyjać zaśnięciu. Ale inna rzecz: warunek sprzyjający zaśnięciu a inna rzecz cecha samego zasypiania. Cechy charakteryzujące proces uwagi i cechy charakteryzujące proces zasypiania są niewątpliwie wprost przeciwne. Zwężenie się łańcucha asocyjacyj w uwadze, dzieje się na korzyść jednej nici logicznej — zwężenie się łańcucha asocyjacyj w zasypianiu, przeciwnie na korzyść bezładnego przesuwania się po przedmiotach—niezależnie od ich związków logicznych. Ostatecznie więc możemy nasze zdanie co do zachowania się uwagi podczas zasypiania sformułować w ten sposób, że ona wprawdzie nie ginie, niekiedy nawet *chwilowo* skupia się bardziej niż na jawie, ale to skupienie wnet przerzuca się na inny temat, ażeby znów trwać przez chwilę tylko.— *Uwaga podczas zasypiania decentralizuje się.*

Mamy tu więc ten szczególny przypadek— pozornie sprzeczny w swych cechach, gdy je chcemy słowami opisać — że uwaga jest jednocześnie względnie skupioną i rozproszoną. Tylko że to jej skupienie senne różni się bardzo od skupienia na jawie — jest mianowicie zbyt wielkiem, zbyt zamkniętem w sobie i ztąd zbyt ograniczonem. Na jawie, jeśli skupię uwagę na jakimś przedmiocie, to jednak nie zapominam przez to o jego stosunkach z innemi — i to właśnie stanowi trzeźwą jasność mojej obserwacyi — w marzeniu sennem przeciwnie, przedmiot wydaje się wprawdzie jeszcze bardziej jasnym, ale na swój sposób, właśnie przez zapomnienie o jego związkach z innemi. Zagłębiamy się w niego myślą tak dalece, że prześlepiamy wszystko inne Stajemy się podobni do człowieka, który chcąc ocenić położenie słońca na niebie, wpatrzył się w nie i oślepł od blasku — jest to niewątpliwie skupienie uwagi, ale skupienie niedorzeczne. Wypływa zaś z niego to, że nie my nad przedmiotem ale przedmiot nad nami panuje. Myśl która się przez mózg przesuwa, narzuca mu się. Umysł który bada, chodzi z latarnią i rozpatruje—umysł który marzy, czeka błyskawic i gapi się. Przez chwilę widzi więcej niż na jawie, ale widzi za mało i za krótko. Ponieważ jednak widzi jasno, a więc za przykładem Dekarta, to co widzi uważa za prawdę.

Nieraz śni mi się, że leżąc na łóżku czytam książkę, która leży o dziesięć kroków odemnie; czuję że mam oczy zamknięte, wiem że czytam bez pomocy wzroku, ale fakt ten nie wy[illegible] mi się wcale niedorzecznym; zapominam o pospolitych zależnościach i warunkach, a ponieważ widzę jasno, więc wierzę. Uwaga jest wtedy skupioną; we wspomnieniu snu czuję nawet że musiałem się wysilać na to skupienie — ale to skupienie było właśnie za wielkie, zanadto zamknięte w sobie, zanadto oderwane od wszelkich istotnych stosunków. Tak samo trafia się, że we śnie mówię nieznanym lub bardzo mało znanym mi językiem, z taką swobodą jakbym się z nim urodził, jestem z tego dumnym, czuję że to przedstawia pewną trudność, ale niemniej wierzę żem ją zupełnie pokonał. I tu przyczyną mniemanej umiejętności jest *jasność zwężonego łańcucha asocyacyj.*

Ta jasność i to zwężenie. są to zmienne zależne innych cech ogólniejszych.

Rozpatrzmy je.

Myślenie nasze na jawie jest przeważnie *wyrazowem — we śnie staje się przeważnie obrazowem.* Chwila zasypiania jest właśnie chwilą przejścia od jednego do drugiego. Jeżeli podczas spokojnego leżenia przy zamkniętych oczach, zauważymy, że myśli nasze zamiast się wyrażać w łańcuchach zdań tylko, zaczną się przed nami uplastyczniać, to możemy być pewni, że chwila zaśnięcia zbliża się. Tak więc wzrok, który najprzód zasypia, jako czuwający, najpierwszy budzi się jako senny. Proszę mi wybaczyć te wyrazowe kontradykcyje; — chcąc opisywać zasypianie, niepodobna ich uniknąć; zresztą sądzę, że czytelnik rozumie o co chodzi: wzrok ze sfery zmysłów przenosi się w sferę umysłu, z zewnętrznego staje się wewnętrznym zmysłem.

To przejście uskutecznia się w następujący sposób:

Najprzód po za łańcuchami asocyacyi wyrazowych, mianowicie tam, gdzie one się stają luźne i mniej jasne, ukazują się wyraziste obrazki, najczęściej bez żadnego związku z treścią wyrazową, ale mające pretensyą stanowienia podkładu plastycznego dla tej ostatniej. Tak n. p. myślę, że szkoła X. nie odpowiada moim wymaganiom a jednocześnie ukazuje mi się obrazek butów wkładanych z trudnością na czyjeś nogi; powłóczysty ruch oczu z dołu ku górze uplastycznia mi się jako dwie sylwetki czarnych postaci zrośnięte u dołu, a u góry rozszerzające się wraz z ruchem oczu; myśl odpowiadająca na pytanie gdzie? uplastycznia się jako ruch armaty wycelowanej w pewnym kierunku i tp. *) W drugiem stadyum występują obrazy już całkiem od treści myśli wyrazowych niezależne. Rozmyślam nad połączeniami chloru, bromu i jodu z wodorem, a po za tą treścią spostrzegam twarz ukazującą się jakby w kącie pokoju, twarz która mieni się jak obrazy niknące. Byłem przekonany, że to twarz, ale to jest właściwie torba myśliwska, nie tyle torba ile książka czerwono oprawna i na pół otwarto stojąca, zaś brzegi złocone jej kart to są właściwie promienie słońca a każdy promień rozciąga się.. (w tem miejscu czuję chęć wyciągnięcia się przez rozkrzyżowanie rąk i ten ruch na pół wykonany rozbudza mnie chwilowo).

Nareszcie w trzeciem stadyum myśli wyrazowe stają się rzadkiem zjawiskiem, jakby chwilowym odgłosem tylko, podczas gdy obrazy zajmują całą myśl. Widzimy już nietylko oderwane przedmioty mieniące się i wykrzywiające ale *całe grupy, całe sceny, zupełnie wyraźne, na wzór widziadeł chorobliwych,* czyli tak zwanych *halucynacyj.* Łatwo się domyślić że treść ich przedewszystkiem powtarzać będzie silniejsze wr[illegible] za dnia odebrane. Tak np. pamięta[illegible] pierwszej mojej bytności w górac[illegible] sypiania, widziałem zawsze sine

*) Wszystkie te przykłady sa[illegible] niami i sądzę że w rozprawach psyc[illegible] [illegible]qyć inaczej.

obłoki na błękitnem tle nieba. Podobnież po pierwszych pracach nad mikroskopem widziałem przed sobą tkankę komórek roślinnych zmieniającą swe zarysy, ale powracającą co chwila. Około tych świeżych wrażeń plączą się inne, którym podrażniony dłuższą pracą mózg każe przechodzić ze stanu wrażeń wspominanych a więc wyobrażeń w stan wrażeń bezpośrednich. I w końcu układa się z tego szereg scen w małej części prawdziwych, w nieco większej możliwych tylko, a przeważnie: niedorzecznych.

Tym zmianom towarzyszy znaczne powiększenie się *szybkości* przebiegu wyobrażeń.

Wiadomo, że nowsze badania doświadczalne wykazały względną powolność naszych myśli. Każde wyobrażenie będące cząstką składową myśli, ażeby być dokładnie świadomem, potrzebuje na to pewnego czasu. Dla czego? dla tego, że świadomość polega na uprzytomnieniu jak największej liczby stosunków danego wyobrażenia z innemi. Wyobrażenie liczby 25 n. p. będzie coraz jaśniejszem, jeśli obok jej formy wyrazowej lub obrazowej uprzytomnimy sobie nadto, że leży ona w połowie drogi od 20 do 30, że składa się z 5×5, że jest połową połowy 100 i t. d. *) A wszystkie te uprzytomnienia wymagają pewnego czasu. Podczas zasypiania liczba ich coraz bardziej się zmniejsza, a tem samem szybkość przebiegu wyobrażeń znacznie się zwiększa. Kilka razy miałem sposobność przekonać się, że osoba, która głośno czytała książkę, zdrzemnąwszy się na jedną sekundę zaledwie, miała czas prześnić obrazowo kilka scen tak długich i zawiłych, że opowiedzenie ich zajęło przynajmniej 10 minut. Jeszcze bardziej wybitny fakt opowiadają o pewnym francuskim autorze. Przygotowywano w teatrze pierwszą jego sztukę, do której wielkie przywiązywał nadzieje. Przez kilka ostatnich dni poprawiając ją lub asystując próbom zmęczył się tak bardzo, że gdy przyszło przedstawienie, stając za kulisami zdrzemnął się zaraz na początku pierwszego aktu. Podobnie jednak jak w owym przykładzie z czytaniem, ponieważ uwaga jego opanowana była myślą o sztuce, marzył więc dalszy jej ciąg tak jakby widział—i nie czuł że zasnął. Akt pierwszy przesunął mu się w myśli jak najdokładniej; widział grę aktorów, oceniał jej braki i zalety, cieszył się chwilowemi oznakami uznania ze strony widzów i zaczął wierzyć że sztuka zrobi furorę. Tak samo przeszedł akt drugi i trzeci, ale ku końcowi nadzieja powodzenia słabnąć zaczęła. Autor ku wielkiej swojej rozpaczy widzi że sceny kulminacyjne wychodzą słabo, publiczność pozostaje zimną, dają się nawet słyszeć szmery niezadowolenia i wreszcie wraz z zapadającą kurtyną rozlega się świst, który autora budzi, oblanego zimnym potem i zgnębionego zawodem. Przeciera oczy, spogląda na scenę i ku wielkiemu swemu zdumieniu przekonywa się, że grają zaledwie drugą scenę pierwszego aktu!

W tym razie szybkość przesuwania się scen marzenia była wyjątkowo wielką, ponieważ dotyczyła szeregu skojarzeń duchowych wyjątkowo silnie powiązanych i przez powtarzanie ustalo- [illegible] Gdy sen jest *twórczy* w szerszem znaczeniu [illegible]zu, wówczas szybkość jest mniej zna- [illegible] większą niż na jawie. Na jawie [illegible] wyobrażeniem głównem łączy się mnóstwo pobocznych, które obecnością swoją wyrażają jego stosunki i przyczyniają się zarazem, do rozjaśnienia i do spóźnienia biegu asocyacyi. W marzeniu zaś sennem tej wiedzy stosunków nie ma; treść jego narzuca się nam bez ciągłej kontroli wspomnień, i bez przeciwstawiania się wrażeń obecnych — a takie uproszczenie łańcucha skojarzeń sprawia, że czas potrzebny na senną świadomość każdego wyobrażenia, jest nierównie krótszy. Wyobrażenie jest wówczas jasnem, halucynacyjnem nawet, ponieważ w danej chwili zajmuje mózg wyłącznie, ale zarazem jest niedokładnie świadomem, ponieważ w jednej chwili znika, bez zważenia się, skombinowania i przeciwstawienia z innemi. Stany wahania się, pytania, wątpienia, są niesłychanie rzadkie podczas snu. Fortlage twierdzi nawet w swym aforyzmie „Fragen ist wachen,“ że ile razy we śnie zapytamy się o coś, tyle razy budzimy się. Ale tak nie jest; Fortlage widocznie snów nie zapisywał, byłby bowiem bardzo łatwo znalazł taki w którym rozmowa odbywa się przez pytania i odpowiedzi. Ma on jednak słuszność o tyle, że *istotne dochodzenie rzeczy nieznanej nie może mieć miejsca* we śnie, właśnie dla braku tej przeciwstawności pomiędzy wyobrażeniami, pomiędzy prawdą a złudzeniem. Pytać możemy się podczas snu, bo to jest zbyt nałogowa, mechanicznie ustalona już forma naszych myśli, a sen wszystkie takie formy i mechanizmy najchętniej powtarza; lecz badać rzeczywiście, ze świadomością różnicy jaką zachodzi pomiędzy prawdą a złudzeniem, pomiędzy rzeczą wiadomą a niewiadomą, nie możemy, ponieważ łańcuch naszych myśli jest zbyt szczupłym i zbyt szybkim. (C. d. n.)

*) [illegible]r tej kwestyi w rozdziale: „Spo- [illegible] w książce, która wkrótce wyjdzie [illegible] trzeżenia“.

TRZYNASTY SĘDZIA.

NOWELLA

przez

ALBERYKA SECOND.

(Ciąg dalszy).

III.

Major Vernac mieszkał u niejakiej pani Robin, kobiety już w pewnym wieku. Nie posiadając wielkiego majątku, zajmowała ona wraz z rodziną mieszkanie parterowe, resztę zaś domu wynajmowała wraz z umeblowaniem, owym wędrownym lokatorom, nazywanym urzędnikami. Mąż jej sprawował jakiś skromny urząd w prefekturze, a jedno z drugiem, przy wielkiej oszczędności, państwo Robin utrzymywali się jako tako, zwyczajem większej części rodzin po małych miasteczkach.

Spowiednikiem pani Robin był ksiądz Joulu, jezuita, uchodzący za najsurowszego przewodnika sumień w całej dyecezyi. Otóż stało się, iż po owej uczcie z kruków, pani Robin, z natchnienia księdza Joulu, wymówiła mieszkanie majorowi, z żądaniem aby się tego samego jeszcze dnia wyprowadził.

Major kazał sobie kilkakrotnie powtórzyć ten niespodziewany nakaz.

— Pani Robin — rzekł nakoniec — rozmyśl się pani jeszcze zanim mnie za drzwi wyrzucisz. Jesteś pani uczciwą kobietą a kominki u pani nie dymią. Nie życzę też pani nic złego, i dlatego nie zmuszaj mnie pani do zmiany zdania.

— Nie lękam się wcale gróźb pańskich — odpowiedziała pani Robin, z udaną pewnością siebie. — Pragnę tylko abyś pan dzisiaj nie nocował pod moim dachem.

— Więc to ma być na seryo?

— Zupełnie na seryo.

— Pani mnie wypędzasz?

— Nie wypędzam pana, ale proszę tylko o ustąpienie z lokalu, który jest mi potrzebny. Zdaje mi się, że właściciel domu ma prawo rozporządzać swoją własnością.

— Dobrze — odparł major z goryczą — za dwie godziny uwolnię panią od mojej obecności.

I rzeczywiście, z upływem dwóch godzin, skończył swoje przenosiny, a chociaż nie bywał nigdy zbyt uprzejmym dla kobiet, nie chciał się oddalić bez pożegnania się z gospodynią.

— Pamiętaj pani — rzekł — żeś sama tego chciała.

— Czego chciałam? — zawołała przestraszona pani Robin. — Proszę pana, wytłómacz mi pan to!

Ale major nie chciał dać żadnego tłómaczenia i oddalił się szybkim krokiem.

Cały szereg faktów jakie potem nastąpiły, utwierdził nas w przekonaniu, że major był *jettatorem* w najgorszym gatunku. Nielitościwa fatalność uwzięła się przeciw biednym Robinom, których całe prawie miasto lubiło. A najprzód, notaryusz pewien, u którego złożyli kilka tysięcy ciężko zaoszczędzonych franków, drapnął za granicę, pozostawiwszy ogniotrwałą kasę, nader sprytnie przeciw złodziejom zabezpieczoną, ale wewnątrz zupełnie próżną. — Dalej, lokatorowie wynosili się jeden za drugim, jakby namówieni, a nikt inny mieszkań opustoszałych nie zajmował. Wreszcie pan Robin, wskutek silnego reumatyzmu w prawą rękę, nie mógł tak wiele pisać jak dawniej, prefekt też poradził mu grzecznie, żeby pojechał do wód na kuracyą, a jednocześnie oddał jego miejsce innemu. Wszystkie te klęski jednak były tylko w pewnym rodzaju stopniowaniem i przygotowaniem do nadzwyczajnego wypadku, jaki wszyscy lekarze miejscowi usiłowali usprawiedliwić na podstawach naukowych, ale który większa część mieszkańców jednogłośnie zaliczyła do wypadków nadnaturalnych.

Państwo Robin mieli jedynego syna. Rozumie się, że kochali go i strzegli jak oka w głowie. Syn ten miał już dwadzieścia lat skończonych i w następnym roku wypadało mu stanąć do służby wojskowej. Że jednak wzrostu był bardzo małego, tak, iż wiele centymetrów brakowało mu do minimum wymaganej prawom miary, rodzice jego byli najpewniejsi, że kapryśny los nie zabierze im ukochanego jedynaka. Pewien kapitan, przyjaciel domu, który bardzo często własnoręcznie przemierzał młodego Robina, zwykł był przy każdej takiej sposobności, powtarzać żartobliwie:

— Doskonały byłby z niego tambormażor... w armii Liliputów!

Na dwa tygodnie przed terminem losowania, młody Robin, kładąc się spać wieczorem, żalił się na wielkie osłabienie w całem ciele.

— To nic — uspokajała go matka — musiał się przeziębić trochę; przykryj się dobrze, a jak się przespisz, będziesz rano zdrów zupełnie.

Ale nazajutrz, kiedy przyszło do ubierania się, biedny chłopak spostrzegł z zadziwieniem, że spodnie, które miał wczoraj na sobie, skurczyły się o dobry palec, a rękawy surduta, zakrywając

dotąd pół ręki, nie sięgały teraz nawet do początku dłoni.

Od owej chwili, młodzieniec rósł, można powiedzieć, w oczach, tak, że gdy przy losowaniu padł na niego nr. 13 i stawiono go pod miarę, okazało się, że o pięć centymetrów wyższym jest od wymaganego minimum.

W ciągu nie całych trzech tygodni, urósł o dziewięć centymetrów!...

Teraz przypomniała sobie strapiona matka groźne pożegnanie dawnego swego lokatora. Pobiegła do majora, padła mu do nóg, przepraszała go i błagała pokornie, aby położył już kres straszliwej swej zemście.

— Doprawdy, kochana pani — rzekł major podnosząc ją—zdaje mi się, żeś pani zmysły utraciła. Bierzesz mnie pani za jakiegoś czarownika czy wampira? czy też posądzasz mnie o stosunki z samym diabłem? Za ten nierozważny krok zasłużyłaś pani na porządne kazanie ze strony wielebnego ojca Joulu, szanownego twego spowiednika.

Podał jej rękę i z największą uprzejmością wyprowadził aż na schody.

Pomimo to pani Robin przekonaną pozostała, że nie kto inny tylko on był sprawcą wszystkich jej nieszczęść; a wiarę tę — wyznać muszę — podzielała większa część naszego miasteczka, w bardziej nawet wykształconych sferach.

Taką to osobą był trzynasty sędzia, którego los wyznaczył Piotrowi Granger; łatwo też pojąć pewien rodzaj nieokreślonego wzruszenia, jaki ogarnął zebraną publiczność, gdy z urny wyszło owo tajemnicze nazwisko: Major Vernoc.

IV.

Tymczasem ciągnęło się czytanie aktu oskarżenia, wśród głębokiej ciszy, przerywanej niekiedy głośniejszym nieco szmerem oburzonej publiczności.

Prokurator królewski (podczas pobytu swego na kursach prawnych w Paryżu napisał kilka melodramatów dla teatrzyku Bobino) z pewną znajomością efektów scenicznych zestawił fakta same przez się dość już okropne, tak, iż powiodło mu się do wysokiego stopnia zająć uwagę słuchaczy, a piękne damy, siedzące na uprzywilejowanem miejscu, po za stołem trybunału, prawdziwego, nader przyjemnego strachu nabawił.

Z całego towarzystwa jeden tylko Piotr Granger widocznie się nudził; z początku poziewał w najokropniejszy sposób, a następnie zasnął sobie spokojnie, przyczem ciężki oddech jego, połączony z chrapaniem, dziwną stanowił ilustracyę tak ważnej i uroczystej chwili. Napróżno troskliwi żandarmi usiłowali wyrwać swego pupila z tego stanu błogiej obojętności; tyle tylko mogli dokazać, że od czasu do czasu odmykał jedno lub drugie głupowato zaspane oko i po chwili znowu w głębszy jeszcze sen się pogrążał.

Skoro pisarz sądu ukończył czytanie aktu oskarżenia, gwałtem prawie wyrwano oskarżonego z sennego letargu, a przewodniczący rozpoczął badanie.

Badanie to ujawniło w całej nagości, cynizm, zbydlęcenie i bezwstyd Piotra Granger.

Zabił żonę swoją — jak mówił — gdyż zachodziła pomiędzy nimi wielka niezgodność charakterów; podpalił dom, bo noc była bardzo zimna, a on nie miał ani kawałka drzewa do ogrzania się; prawda, że pożar ten spowodował śmierć trojga jego dzieci; ale ponieważ były to dzieci chorowite, skrufuliczne i wynędzniałe, w gruncie więc rzeczy śmierć ich nie zrządziła wielkiej szkody społeczeństwu i — prawdę mówiąc — nie warto go było za taką drobnostkę prześladować.

Po złożeniu zeznania przez obwinionego, przerwano posiedzenie, a wysłuchanie świadków odłożono na dzień następny. Nikt już przecież nie wątpił, że ostatniem słowem w tej sprawie, będzie kara śmierci.

Niektórzy z obecnych nie mogli utaić swego podziwienia, że ani obrońca ani prokurator nie wykluczyli majora Vernoc; zdziwienie to jednak wyrażali z wielką ostrożnością, aby przypadkiem nie doszło ono do uszu groźnej tej osobistości.

Piotr Granger, odprowadzony do więzienia, żalił się, że umiera z głodu i zjadł skromną swoją porcyjkę, rozkoszując się nią jakby smakosz ucztujący w pierwszorzędnej restauracyi.

Strażnik więzienny nie mógł nadziwić się w obec zupełnej jego obojętności.

— Czegoż bym się miał martwić? — zapytał go zbrodniarz zajadając z wielkim apetytem.

— Czego? — powtórzył zdumiony podobnem zapytaniem strażnik — i ty się jeszcze pytasz o to?

— A to się rozumie. Cóż bo najprzykrzejszego jest w takiem jak moje położenie? Niepewność, wszakże prawda?

— Być może.

— Otóż ja pod tym względem nie mam najmniejszej wątpliwości.

— To prawda, będziesz skazany na śmierć.

— Tak sądzisz?

— Założyłbym się o dwadzieścia franków.

— Każdy ma wolne zdanie; ale tym razem przegrałbyś.

— Masz więc nadzieję, że sędziowie przysięgli będą tak łaskawi dla ciebie, że wynajdą okoliczności łagodzące?

— Okoliczności łagodzące? — a mnie po co one do licha? — żeby przez całe życie gnić w więzieniu?...

— Czy tak? — zawołał strażnik wybuchając głośnym śmiechem — spodziewasz się zatem, że uznają cię za niewinnego?

— Wcale się nie spodziewam...

— No, tak, to rozumiem...

— Ale jestem pewny tego.

— Chybaby się diabeł wmięszał w tę sprawę.

— A czemużby nie? — zakończył Piotr Granger, dogryzając ostatni kawałek chleba.

Strażnik wzruszył z pogardą ramionami, zbadał ściany i podłogę, obejrzał kajdany więźnia i opuścił celę zamknąwszy na dwa spusty olbrzymi zamek osadzony w drzwiach dębowych grubych na trzy palce i gęsto żelaznemi obitych sztabami.

V.

Nie mamy wcale zamiaru śledzić krok za krokiem przebieg zajmującej tej rozprawy. Ciekawi znajdą ją w całości w współczesnych dziennikach sądowych; autor zresztą nie czuje się w możności powtórzyć krasomowczych zarzutów pana Tourangin i niemniej wymownej obrony pana Lepervier.

Pierwszy z nich mówił trzy godziny i czterdzieści minut, drugiemu udało się przewyższyć swego współzawodnika o cały kwadrans. Prokurator odpowiedział dzielną repliką, trwającą z górą dwie godziny — adwokat odciął się dupliką dłuższą o dwadzieścia pięć minut. Bez zaprzeczenia, była to jedna z najpiękniejszych walk na kryminalnem polu; i jakkolwiek sala podzieloną była od pierwszej chwili na dwa obozy: Touranginistów i Lepervistów, obie strony musiały jednozgodnie przyznać, że w wspaniałym tym turnieju nie było zwyciężonych, a sami tylko znajdowali się zwycięzcy.

Rozprawy zbliżały się do końca, i przewodniczący miał już przystąpić do zreasumowania. Że jednak upał w sali był nieznośny i każdy z obecnych czuł niezbędną potrzebę odetchnięcia na chwilę świeższem powietrzem, przerwano posiedzenie na poł godziny. — Sędziowie przysięgli przeszli do sali narad, członkowie trybunału do przybocznego pokoju, a tymczasem woźni pootwierali wszystkie okna w sali rozpraw aby oczyścić zgęszczoną atmosferę.

Przysięgli rozprawiając między sobą o toczącej się sprawie, w której według swych sumień ostatnie mieli wyrzec zdanie, orzeźwiali się dostarczonemi im na żądanie przekąskami i lodami. Major Vernoc zapalił cygaro, i rozparłszy się w wygodnym fotelu, rozkoszował się wonnym dymem jak prawdziwy Turek.

— Przepyszne cygaro! — westchnął jeden z przysięgłych, spoglądając na niebieskawe obłoczki unoszące się po nad głową palącego.

— Może szanowny kolega pozwoli? — zapytał go major podając uprzejmie otwartą cygarnicę.

— Jeśli nie zrobi to panu różnicy?...

— Ależ, najmniejszej!...

Sędzia wziął jedno cygaro i zapalił je od cygara uprzejmego kolegi.

— I cóż? jakże smakuje? — pytał major.

— Przewyborne! — odpowiedział tamten. I zapach i smak, zupełnie niepodobne do naszych, rządowych. Zkąd pan je bierzesz?

— Z Hawanny.

— To cokolwiek za daleko i za drogo.

— Masz pan słuszność, ale jest to też jedyny grzech mój i zbytek na jaki sobie pozwalam.

Kilku innych sędziów przysięgłych zbliżyło się do rozmawiających, i rzucali na cygarnicę majora pożądliwe spojrzenia, których znaczenia nie trudno było odgadnąć.

— Raczcie panowie wybaczyć — rzekł major z wyszukaną grzecznością — oddałem właśnie ostatnie cygaro — i nadzwyczaj mi przykro, że przez proste zapomnienie nie wziąłem z sobą większego zapasu.

Gdy kończył te słowa, woźny przyszedł uprzedzić panów przysięgłych, iż pół godziny przerwy już upłynęło.

Na to wezwanie sędziowie pospieszyli zająć swe miejsce, a jednocześnie zabrał głos przewodniczący.

Nie doszedł jeszcze jednak do połowy swego przemówienia, kiedy ów sędzia przysięgły, którego major poczęstował cygarem, powstał i słabym głosem prosił o pozwolenie wydalenia się na chwilę, czując się mocno osłabionym.

Mówiąc to, stracił przytomność i padł bez czucia na podłogę.

Przewodniczący zarządził natych[illegible] przeniesienie chorego do jego miesz[illegible] prosił następnie majora Vernoc, aby [illegible] opróżnione miejsce i ciągnął dalej [illegible]

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy.)

Tak byłby odpowiedział Rafael, twórca szkoły Ateńskiej, filozof artysta z szesnastego wieku. Większa część jego czynności artystycznej nosi na sobie piętno wielkiej wiedzy i filozoficznej myśli — ale nie wszystko co on odmalował jest idealizowaniem życia ludzkiego, albo tłómaczeniem filozoficznem typicznych zdarzeń dziejowych—i znajdziemy także obrazy czysto kościelne, i to właśnie malowane w ostatnich latach krótkiego życia artysty, i w chwili, w której tenże malował najlepiej może. Do nich zaliczymy Sybille w kościele *della Pace*, Izajasza w kościele *San Agostino*, Madonę *di Folligno* i Przemienienie Pańskie w Watykanie, które to wszystkie cztery obrazy znajdują się w Rzymie, — dalej świętą Cecylię w Pinakotece Bonońskiej, i Madonę Sykstyńską w Galeryi Drezdeńskiej. Sybile i Izajasz są to zadumane postacie stworzone na wzór podobnych postaci Michała Anioła w Sykstynie, a tylko uświetnione lepszym kolorytem. Cudną jest młoda Sybila dzierżąca pióro w ręku i szukająca natchnienia w niebie by pisać, pełnym potęgi i grozy zadumany Izajasz, otulony w ponure fiolety, któremu jakiś anioł mały, nagi a dziwnie groźny o przyszłości prawi stanąwszy nad nim, ale postacie te czerpią swój początek w natchnieniach Michała Anioła i nie powiedzą nic innego nad to, co już Michał Anioł mówił.

Madona da Foligno i Przemienienie Pańskie znajdują się w jednej sali w Watykanie, a choć techniczne zalety Madony mają być niezrównane, wszystkich oczy zwracają się ku Przemienieniu; boć dziwnie realistyczne portretowe postacie klęczą u stóp Madony, unoszącej się z dzieckiem w obłoku, i siedzącej dość ciężko na glory Niebieskiej, i bo Madona nie jest tak czułą jak inne wyszłe z pod tego samego pęzla, a wygląda dość pospolicie i wcale ziemsko; bo zaletą główną Madony nasycony światłem koloryt, na którym się tylko znawcy i malarze poznają, kiedy znów żaden podobno obraz na świecie nie jest tak wychwalany jak Przemienienie Pańskie. Dla czego? Dowiemy się o tem może.

Nie dla kompozycyi pewno, bo brak w nim jedności. U dołu widać grupę ludzi, pomiędzy którymi dwie kobiet odznacza się nadzwyczajną pięknością, a wśród których główna postać brzydotą razi. Jest to chłopiec dwunastoletni, opętany, przyprowadzony pod górę Tabor, aby zeń czarta wygnał Chrystus. Gestykuluje szalenie i wykrzywia się ohydnie, jako wzór i obraz tego, czem jest człowiek gdy zeń rozum ustąpił, i robi na widzu wprost przykre wrażenie. Na człowieku nie powinien taki wyraz postać—on gwałci wprost nasze pojęcia o człowieku, i jest przeto tak brzydkim jak monstrualność jaka fizyczna którejby przecie nikt nie malował — a prócz tego upokarza nas nieznośnie samą, myślą że mamy coś wspólnego z ową istotą niższą od zwierząt. Otóż ta postać jest tu na pierwszym planie, i zajmuje środek obrazu i nadaje całej kompozycyi odrażający charakter, którego nie okupi część górna obrazu, czyli raczej obraz drugi odmalowany na górze i w drugim planie, ów obraz znany wszystkim jako Przemienienie Pańskie, gdzie Chrystus trochę zbyt młodzieńczy wśród powietrza i światła pływa pomiędzy prorokami ulatującymi i nad głową apostołów pełen blasku, cudu i miłości przeciwstawiony zeźwierzęciałemu człowiekowi, jako człowiek ubóstwiony. Powiadamy: górna ta część nie okupi błędu części dolnej, bo opętaniec zajmuje tu więcej miejsca od Przemienionego, i zwraca bardziej na siebie uwagę widza. Nie kompozycya tedy jest przyczyną sławy Przemienienia Pańskiego, bo to kompozycya najgorsza u Rafaela.

A wykonanie także wiele zostawia do życzenia. U góry dokazał pęzel cudów. Postacie zamglone oddaleniem, prawie niewyraźne wśród światła i pływające po powietrzu i rysowane i malowane po mistrzowsku ze swem ciężeniem największych trudności; ale to postacie bardzo małe i na drugim planie. I na dole wiele jest bardzo pięknych postaci, ale wszystkie za gęsto na jedno miejsce zepchane, malowane w sposób duszny a co najgorsza, brudnemi, czarniawemi kolorami. Więc i wykonanie tu słabsze jak gdzieindziej u Rafaela.

Przyczyna sławy niezmiernej tego obrazu leży wyłącznie w pamiątkach przywiązanych doń, w tem, że młody jeszcze Rafael umarł, gdy obraz ten malował wprost wezwany w szranki przez Michała Anioła, i w tem że obraz ten niesiono za trumną jeniusza młodego. On nam tedy przypomina ową sympatyczną, piękną postać, co umarła za wcześnie dla sztuki, dla Włoch i ludzkości, i patrząc na obraz ten zdaje nam się że przebywamy z Rafaelem. I tu jak tylekrotnie w Rzymie oczarowały nas wspomnienia.

Kompozycya świętej Cecylji szczęśliwa, wykonanie nierówne. Święta Cecylia z małemi organami w ręku, i szyją szeroką śpiewaczki przerwała swoją grę i raptem usłyszała pieśń aniołów, i słuchała jej z widocznem natchnieniem, gotowa owe niebieskie tony ziemskim ludziom powtórzyć. Przy niej stanęło cztery świętych postaci, pomiędzy któremi święty Paweł sparty o miecz przypomina bogów Fidyasza. Groza spokojna, grecka wieje z obrazu, a to tylko szkoda że dwie postacie święte pomiędzy pięcioma malowane niejasnemi i niemiłemi barwami ręką ucznia.

Za to Drezdeńska Madona rzeczywiście najlepszym obrazem olejnym Rafaela. Jest to młoda bogini grecka w jasnej lotnej draperyi stojąca wśród obłoków z nagiem dzieckiem w ręku; cudna istnie, jasna, wielkooka, złotowłosa; nadziemskie, wiecznie szczęśliwe widzenie wymarzone przez duszę poety malarza. Święty Sykstus, starzec w papieskim ornacie, klęczy po prawicy, jak żywy, i drgającą rękę wyciąga ku nam, w zachwycie zapatrzony w lotne zjawienie; po lewicy piękna święta Barbara klęczy w pokorze, a dwoje pyzatych aniołków wpatruje się z dołu w Madonę. Cud to nad cuda—prawdziwe widzenie!

A jednak, jeźliś już nie nawykł do pięknego starych malowania, powiesz raz pierwszy na ową Madonę spojrzawszy: „Przechwalona, o niczem nie mówi.“ Nie znajdziesz ani gorączkowych zachwytów ani chorobliwej romantycznej bladości, do której cię nowsi przyzwyczaili. Nie znajdziesz niespodzianych efektów światła, patetycznego interesu, jaskrawych piękności odbijających o brzydkie tło; nie znajdziesz nawet mistycznych zagadek. Więc będziesz niekontent.

Ale gdy się wpatrzysz w tę Madonę, gdy uwierzysz, że jest na to tylko by była piękną, ujrzysz jak te postacie idealne żyją, i ulatują przed tobą, jak rozwarł się przed tobą kawał nieba prawdziwego, w którym nie ma boleści i brzydoty, w którym panuje pokój wiecznego piękna. Madona ta, to jak niegdyś greckie posągi, żywy rozumowy ideał oderwany od ziemi, a pokazany tobie; tylko słodycz jakaś niedopuszcza grozy, i miłośnie cię ciągnie w kraje wiecznego zachwytu.

Żaden malarz nie wychował tylu uczniów co Rafael, i niczyim uczniom nie brakło do tyla samoistności. *Giulio Romano, Francesko d' Imola, Sassoferato, Perino del Vaga, Daniel di Voltera* i wielu innych malowało dość dobrze, bez szczególnej chwały i bez oryginalnego kierunku. Giulio Romano malował po śmierci Rafaela tak jak Rafael a potem coraz gorzej. Mówią że bitwę Konstantego; on wykonał, mówią że on odmalował Madonę o boskiej miłości, co z dzieckiem w ręku klękła naprzeciw świętej Elżbiety i świętego Janka i płonie z miłości — perła prawdziwa galeryi Borghese, Później malował nagie ciała o monstrualnie wielkich rękach, garbatych muszkułach, brudnej koronacji i brutalnym wyrazie — prawie całkiem źle. Francesco d' Imola najwierniej szedł w ślady mistrza, ale i najsłabszy miał penzel, Sassoferato odmalował Madonę co usnęła nad śpiącym dzieckiem, obraz niejednej karmiącej matki pełen słodyczy — i ową panienkę nabożną a przestraszoną, otuloną w niebieski płaszcz, wątłą, drobną a czułą w galeryi Lichtenstein w Wiedniu. Perino del Vaga stworzył Madonę z świecznikami w galeryi Borghese w Rzymie, i Madonę z jabłkiem w galeryi Lichtenstein w Wiedniu, dwie przecudne niewieście postacie, o śmiałym rzucie szyi, i hardych rysach twarzy, podobniejsze do pogańskiej Hery jak do Chrześcijańskiej Maryi, cudnie malowane i groźne, zimne, a straszliwie piękne w swoim chłodzie. Daniel di Volterra stworzył scenę dramatyczną, pojętą klasycznie, ale odmalowaną szaro, w Santo Trinita dei Monti w Rzymie. Zdejmują śmiało odrysowani Atleci sine ciało Chrystusa z krzyża, wyprężając ramiona jakby liny, a Marya zemdlała u dołu, piękna jak Hera — boleśna jak Niobe— młoda jeszcze, ale jakoś z klasyczna piękna i posągowo zimna. Inne postacie nie baczą na ciało boskie spadające z krzyża jedno rzucają się gwałtownie na Maryą. Kobiety święte leżą już przy niej, św. Jan z krzykiem rozwarł ramiona, i na twarz pada przy Maryi. Pełno tu siły rysunku, piękności linji i pogańskiej grozy, ale rozpacz tu panuje niechrześcijańska wcale, i tak namiętna że niewspółczuwamy z nią, niemogąc odczuć równie namiętnej burzy. Ale nie bezpośredni uczeń Rafaela, Parmezańczyk Antonio Alegri *il Coreggio* sam jeden umiał pochwycić jedną stronę jeniuszu Rafaela, i tę stronę samoistnie wykształcić, i stworzyć oryginalne całkiem arcydzieło. (C. d. n.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

IV.

(Ciąg dalszy.)

Natomiast narody znajdujące się na wystawie — a przez narody rozumiemy tu oficyalne organizmy polityczne — dadzą się podzielić, ze względu na niebezpieczeństwo jakiem im grozi Ameryka, na dwie grupy; — z jednej strony na takie ludy, które od razu poczują wpływ Ameryki i pod działaniem tego wpływu doznają pewnego wstrząśnienia a może nawet i przewrotu w swym

bycie; z drugiej zaś strony na takie ludy, którym Ameryka wcale nie zagraża i które, jeżeli się nie odgraniczą od niej płotem ceł ochronnych, niewątpliwie zarobią na rozkwicie jej przemysłu. Do grupy będą naturalnie należały te państwa, w których przemysł doszedł już wysokiego rozwoju, — a więc Anglja, Belgja, Hollandja i Szwajcarja. Że do tej grupy należy także Francya, o tem już wiemy z powyższego. Do drugiej zaś grupy wejdą mocarstwa, w których przemysł jest żaden albo prawie żaden, lub które kultywują takie gałęzie przemysłu, że nie mają z czysto materyalnych względów potrzeby obawiać się, aby Ameryka stanęła z nimi do konkurencyi. Tę drugą grupę wypełni Danja, Szwecja i Norwegja, Austrya, Włochy, Hiszpanja, Rossja i tak dalej zstępując coraz niżej po drabinie ludzkości i cywilizacji. — Rozpocznijmy nasz przegląd od pierwszej grupy.

Rok 1769 ma w dziejach ludzkości mniej więcej to samo znaczenie, co rok 1811 w dziejach kultury wina. Wiadomo że w tym ostatnim roku, zwanym rokiem komety, urodzaj wina był niesłychany, bo nietylko obfity, nietylko pod ciężarem gron uginały się winne drzewa, ale nadto gatunek wina był tego roku najlepszy. Dzisiaj przecie bajońskie sumy już płacą za wina z roku komety. Podobnąż rolę odegrał rok 1769 dla ludzkości. Wprawdzie nie wiemy na pewno czy równie obfity był podczas niego przyrost jednostek ludzkich, ale to wiemy, że w tym roku mnóstwo przyszło na świat wielkich ludzi. Liczą ich na dziesiątki, a między nimi: Napoleona. Ale w tym pamiętnym roku miał jeszcze miejsce i inny wypadek, niewątpliwie ważniejszą rolę odgrywający w dziejach ludzkich niż urodziny owego sławnego Korsykanina, — wypadek, który się bezpośrednio wiąże z całym tym przewrotem, jaki Ameryka dokonać zamierza w europejskim przemyśle. W tym bowiem roku James Watt podał podanie do rządu angielskiego, aby mu wydano brewet na pierwszą maszynę parową. I co za dziwny zbieg wypadków: w chwili gdy Korsyce przychodził na świat najzawziętszy wróg Anglji, w tej samej chwili rząd angielski wydawał patent na broń, którą potem wroga tego pochował. W pięćdziesiąt lat poźniej Napoleon, widząc z wyspy św. Heleny płynący statek parowy, wyrzucał sobie, że nie umiał ocenić znaczenia pary. Ubiegło prawie lat pięćdziesiąt i Anglicy muszą dzisiaj wyrzucać sobie, że chociaż ocenili nie umieli przecież wyzyskać jej znaczenia, że nie potrafili należycie sfruktyfikować rodzinnego wynalazku. Lokomobil urodził się na ich ziemi, ale nie na niej stale zamieszkał.

Anglja z całej kuli ziemskiej sprowadza dla siebie mięso i zboże. Apetyt jej nie da się z niczyim porównać. Tysiące korcy pszenicy, setki tysięcy najlepszych wołów, miliony baranów i wieprzy, setki milionów kur i gęsi, i wreszcie miliardy jaj zabiera ona co roku z wszystkich pięciu części świata i spożywa w najlepsze. Za to obdarza te pięć części świata dwiema głównie rzeczami: — węglem i tkaninami bawełnianemi. Obrót ogólny kapitałów przy tym handlu zamiennym z zagranicą wynosił w zeszłym roku okrąglutko 8 miliardów złotych reńskich. Jest to cyfra, do której jeszcze handel żadnego kraju nie dorósł. Będzież ona wieczną?

Blisko połowę jej stanowi import towarów, mających na celu zaspokoić apetyt Angilków. O tej przeto połowie mówić nic nie możemy, bo nie znamy jakim fluktuacjom podlegać mogą żołądki dzielnych synów i nadobnych cór Albionu. Z pozostałej reszty część stanowi eksport węgla, którego Anglja produkuje więcej niż wszystkie kopalnie kuli ziemskiej, razem wzięte; a część wyroby bawełniane. Te ostatnie w ogólnym handlowym bilansie Anglii figurują (jako eksport) w poważnej sumie niemal 700 milionów złr. — i na tę ostatnią właśnie pozycją zagięła parol Ameryka. Wiemy już, że bawełnę w stanie surowca dostarczają Anglji głównie Stany Zjednoczone, coś blisko 2 miliony pak. Surowiec ten Anglicy przerabiają i jako towar gotowy rozsyłają po kuli ziemskiej. Wiemy dalej że lubo ta przeróbka odbywa się maszynowo, jednakże tak niezdarnie, iż ze stu jednostek siły ludzkiej, zużywanej przy niej w Anglii, Amerykanie potrafili już zaoszczędzić 33% i zastąpić siłą tańszą, bo maszynową. Wiemy nadto, że już dzisiaj wyroby bawełniane amerykańskie prowadzą skuteczną konkurencyę z angielskiemi nawet w Manczesterze, a więc w samem ognisku bawełnianych fabryk Anglii. Wiemy wreszcie że w ostatnich dwóch latach import towarów amerykańskich do Anglii przenosił o całe 170 milionów złr. kwotę eksportu angielskich towarów do Ameryki. Zreasumujmy to wszystko, a okaże się, że nie tak bardzo daleka chwila, w której apetyt angielski będzie się umiał poskromić, mniej spożywać mięsa i pszenicy, bo mniej będzie miał pieniędzy do płacenia: w ktorej Anglicy, widząc dym parostatków amerykańskich, zdążających ku ich brzegom z ładunkiem towarów, będą się bili w czoło jak ongi Napoleon i wyrzucali sobie, że wypuścili z rąk rodzimą swą parę i nie umieli jej należycie zużytkować. W 1769 r. kuli broń, którą w 50 lat potem pokonali Francję, a od której w 100 lat potem sami pokonani zostali.

Oprócz Francyi i Anglii istnieją jeszcze trzy kraje w Europie, w których przemysł stoi na wysokim szczeblu rozwoju. Jest to Belgia, Holandya i Szwajcarya. Jeżeli jednak mówimy, że przemysł ich dosięgnął wysokiego stopnia rozwoju, to przez to nie chcemy wcale powiedzieć, aby był wyższym od przemysłu angielskiego lub francuskiego. Bynajmniej — posiada on te same przymioty i te same niedostatki, a przeto w tymże samym znajduje się stosunku do przemysłu amerykańskiego i takiemu samemu ulegnie przewrotowi. Wszystko zatem to, cośmy powiedzieli o owych dwóch pierwszorzędnych potęgach europejskich stosuje się w równej mierze i do tych trzech maluczkich kraików, z tą wszakże różnicą, że dwa z nich — Belgia i Holandya — posiadają pewien przemysł, mianowicie tkaniny lniane, którego Ameryka, przynajmniej jak rzeczy dzisiaj stoją, nie myśli im z rąk wydrzeć; z tą także jeszcze różnicą, że przemysł szwajcarski zdaje się że zupełnie zabitym zostanie. Do wszystkich bowiem nieszczęść przemysłowych, jakie grożą z za Atlantyku całej Europie, dołącza się jeszcze to specyficzne nieszczęście dla tej maluczkiej a tak sympatycznej republiki, że nie posiada ona węgla, a zmuszona sprowadzać go z daleka i opłacać wysokie koszta transportu, nie zdoła wśród mających się utrudnić warunków konkurencyi walczyć z przeciwnikami, zaopatrzonymi obficie w ten niezbędny postulat dzisiejszego przemysłu.

Skończyliśmy pierwszą grupę. Z drugą mniej będziemy mieli do roboty, albowiem w skład jej wchodzą kraje, bądź nieskończenie nisko stojące w przemyśle, przeto niezagrożone bezpośrednio przez Amerykę; bądź też mające przemysł wyjątkowy, wypływający z lokalnych warunków i nie dający się przetransportować ani do Ameryki ani gdzie indziej. Stosuje się to szczególnie do trzech równie jak Szwajcarya sympatycznych, równie jak ona wysoko ucywilizowanych i wreszcie równie jak ona biednych od natury, a przecież bogatych pracą ludzką krajów, do Danii, Szwecyi i Norwegii. Żadnemu z tych trzech powinowatych między sobą plemion Ameryka nie zagraża, wprost dla tego, że przemysłu ich z pewnych czysto materyalnych względów nie zdoła im z rąk wytrącić. I tak np. Dania ma wprawdzie kilka fabryk wyrobów wełnianych i lnianych, trudni się nieco ceramiką i fabrykacyą szkła, produkuje, osobliwy a nader ładny i gustowny rodzaj haftu podobnego do koronek, a zwanego *hedebosyning*'iem, w który od wieków stroją się damy z Zelandyi; wyrabia na parę milionów rocznie rękawiczek*); ale wszystko to są gałęzie podrzędne przemysłu duńskiego. Głównemi zaś gałęziami, utrzymującemi dobrobyt w kraju jest fabrykacya masła i mąki. Dania to Szlązk północy, to wielki młyn parowy, ściągający zboże ze wszystkich okolicznych krajów, a nadewszystko z ziem naszych i z Moskwy, przerabiający je na mąkę i wysyłający ją następnie do Francyi, Anglii, Szwecyi etc. Nieco mniejszą cyfrę eksportu niż mąka, zawsze przecież poważną stanowi masło. Wynosi ona blisko 20 milionów złr. rocznie. Owoż obie te gałęzie przemysłu nie tak łatwo dadzą się wyrugować z Danii, zważywszy, że geograficzne jej położenie sprzyja niepospolicie ich rozwojowi.

BYWAŁO — DZIŚ.

Bywało, bywało,
(Wczoraj zda się nie raz)
Inaczej się śmiało,
Weselej niż teraz.

Bywało, byle co
Facecja ot pusta,
Wnet oczy się świecą
Wnet szczerzą się usta.

Z serdecznej, gdzieś, głębi,
Śmiech bucha szeroki,
Po twarzy się kłębi,
Pierś wzdyma, rwie boki,

Bez krygów, co po tem?
Drwiąc z sztywnych form świata,
Swobodnym chichotem,
Ku niebu ulata,

By zabrzmieć tam w górze,
Jak salwa wdzięczności,
Wszechstwórcy, naturze,
Od wiosny, młodości!

* * *

Dziś? Człek się uśmiecha
Lecz z takim grymasem,
Iż, ziewa czy wzdycha
Zagadką to czasem.

Dziś, by mu, od święta
To śmiechu widziadło,
Na twarzy, co zmięta,
Przez chwilkę usiadło,

Potrzeba trafunku,
Okazji, zdarzenia,
Szklenicy, dwóch, trunku,
Haustu, dwóch... wspomnienia.

---

*) Przemysł ten datuje w Danii zaledwie od lat 15, a dopiero w ostatnich paru latach dosięgnął tak poważnych rozmiarów. Przed 10 laty eksportowała Dania zaledwie na 6000 złr. rocznie rękawiczek. Dzisiaj eksport ich dosięga do miliona złr. rocznie.

Ach! Nie dziw! Śmiech dziada.
Miesięczne to światło
Z odblasków się składa,
Mrok, ciemnię, ma za tło.

Mrok, kędy dzwon bytu,
Co w Bożej tkwi dłoni,
Nie jutrznię, brzask świtu,
A północ dłań dzwoni. —

* * *

Bywało, bywało
(Wczoraj zda się nie raz)
Chociaż się płakało
To nie tak jak teraz.

Bywało łza tryśnie,
Ba! Dzionek, nie dłużej,
Znów uśmiech z zań błyśnie
Jak słońce po burzy.

I ledwie wiatr zdoła
Osuszyć powieki,
Już powód trosk zgoła
Zapomnian na wieki.

Łzy z oczów młodziana
Nie zrównać prawdziwie,
Jak z rosą, co, z rana
Połyska na niwie.

Gdy dusza w niej, kwiatek,
Pył życia obmyła,
To niebu, podatek,
Woń czystszą posyła.

* * *

Dziś, gdy człek cichaczem,
By nie drwił szyderca
Stłumionym, sza! płaczem
Wylewa jad z serca.

To płacz ten tak parzy
Jak z lawy kaskada
W policzkach, wdłuż twarzy
Szlak czarny wyjada.

I nie masz już pono
Straszliwszej rozpaczy,
Ach! Nad tę, co łono
Sędziwe zahaczy.

Na inne czas lekiem,
Zapomnień balsamy,
Pod niebem dalekiem
Wygoją ich szramy.

Schwyconych w tej kleszcze,
Gdy zliczył Bóg chwile,
Śmierć jedna.. i jeszcze
Utuli w mogile!

Paryż d. 1. Listopada 1878.

J. S. Chamiec.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIĄTA.

(Ciąg dalszy).

III.

Wstając od stołu, doktor Deberle powiedział żonie, że zapewne będzie musiał przepędzić noc tę przy jednej z mocno chorych swoich. Wyszedł o godzinie dziewiątej, spuścił się nad brzeg rzeki i w ciemną noc przechadzał się po pustem wybrzeżu; mały, wilgotny wiaterek dął, wezbrana Sekwana toczyła czarne swe wody. Kiedy jedenasta wybiła, wrócił na wyniosłość Trocadero i począł błądzić koło domu, którego czarna masa zdawała się być tylko zgęszczoną ciemnością. Ale w sali jadalnej świeciło się jeszcze. Okrążył dom, z okien kuchni biło żywe światło. Zatrzymał się wówczas zadziwiony i niespokojny. Cienie przesuwały się po firankach, zamęt jakiś zdawał się panować w mieszkaniu. Może pan Rambaud pozostał był na obiedzie? Ale ten nie bawił nigdy dłużej jak do godziny dziesiątej. Henryk nie śmiał wejść; cóżby powiedział, gdyby Rozalia otworzyła mu drzwi? Nakoniec, około północy, szalejąc z niecierpliwości i zapominając o wszelkich ostrożnościach zadzwonił; i nie odpowiadając, przeszedł mimo izdebki pani Bergeret. Na górze Rozalia przyjęła go.

— A, to pan. Proszę wejść. Zawiadomię panię, że pan przyszedł... Pani musi czekać na pana.

Nie okazywała najmniejszego zdziwienia, że go widziała o tej godzinie. Nie mogąc się zdobyć na jedno słowo, doktor wchodził do sali jadalnej; służąca mówiła dalej:

— Oh! panienka bardzo słaba, bardzo słaba... Co za noc! Nie czuję nóg.

Pozostawiła go samego. Doktor machinalnie usiadł. Zapomniał, że był doktorem. Chodząc nad Sekwaną, marzył o tem, jak Helena wprowadzi go do swego pokoju, kładąc palec na ustach, by nie obudził Joanny, śpiącej w sąsiednim gabinecie; lampka paliła się, pokój tonął w cieniu, pocałunki ich nie wydawały żadnego szmeru. A teraz siedział tu, jak z wizytą, czekając z kapeluszem w ręce. Po za drzwiami uparty kaszel rozdzierał wielką ciszę.

Rozalia ukazała się znowu i z miednicą w rękach, szybko przesunęła się przez jadalny pokój, rzucając mu tylko te słowa:

— Pani mówiła, żeby pan nie wchodził.

Nie ruszył się z miejsca; nie mógł wyjść. A zatem schadzka pozostanie na inny dzień? Wprawiało go to w osłupienie, jako rzecz niemożebna. Potem pomyślał sobie: w istocie, ta biedna Joanna nie miała zdrowia; dzieci sprawiają tylko kłopot i zmartwienie. Drzwi się otworzyły znowu, i doktor Bodin wszedł, przepraszając go mocno. Z kwandrans jaki nizał frazesa: posłano po niego, będzie mu zawsze bardzo przyjemnie poradzić się znakomitego kolegę, i t. d.

— Zapewne, zapewne — powtarzał doktor Deberle, któremu dzwoniło w uszach.

Stary doktor, uspokoiwszy się, udawał, że się waha co do diagnostyki. Zniżywszy głos, roztrząsał symptomata wyrazami technicznymi, które urywał, a potem kończył mrugnięciem oczu. Był to kaszel suchy, bez odpływu, ogromny upadek sił i mocna gorączka. Może to była gorączka tyfoidalna. Nie orzekał jednak stanowczo; od tak dawna leczono chorą od nerwowej, chloro-anemicznej słabości, że bał się teraz nieprzewidzianych komplikacyi.

— Co pan myślisz o tem? — pytał za każdym frazesem.

Doktor Deberle wymijająco odpowiedział na to. Słuchając kolegę, powoli zaczynał się wstydzić, że był tam. Czego przyszedł?

— Przystawiłem jej dwie wizykatorye — mówił dalej stary doktor.—Czekam, cóż mam robić!... Ale sam ją zobaczysz. Potem powiesz zdanie swoje.

I uprowadził go do sypialni. Henryk wszedł drżąc. Jedna lampa słabo oświecała pokój. Przypomniał sobie inne noce, tę samą ciepłą woń, to samo powietrze ścieśnione, zamknięte z wklęsłościami cienia, gdzie spały meble i obicia. Ale nikt nie wyszedł na jego spotkanie, z rękami wyciągniętemi jak dawniej. Pan Rambaud zmęczony, zdawał się drzemać w fotelu. Helena, stojąc przy łóżku w białym podwłośniku, nie odwróciła się; biała ta postać wydała mu się bardzo wielka. Przez chwilę przypatrywał się Joannie. Tak była osłabiona, że samo podnoszenie powiek już ją męczyło. Oblana potem, z twarzą bladą, z wypalonymi rumieńcami na jagodach, ciężko oddychała.

— Galopujące suchoty — wyrzekł głośno niechcący i nie okazując żadnego zdziwienia, jak gdyby oddawna był to przewidział.

Helena usłyszała i spojrzała na niego. Zimna, ze strasznym spokojem stała z suchemi oczami.

— Tak sądzisz pan? — rzekł doktor Bodin, kiwając głową z potwierdzającą miną człowieka, który nie chciał pierwszy wypowiedzieć zdania swego.

Znowu osłuchał chorą. Joanna nieruchomie poddawała się badaniu, zdając się nie rozumieć, po co ją męczono. Dwaj doktorowie zamienili z sobą kilka słów szybkich. Stary doktor wyszeptał wyrazy o amferycznym oddechu i szmerze rozbitego garnuszka; pomimo to jeszcze udawał, że się waha i mówił o nieżycie drobnych oskrzeli. Doktor Deberle tłumaczył, że jakaś przypadkowa przyczyna musiała sprowadzić chorobę, zaziębienie zapewne, ale już razy kilka zauważał, że chloro-anemia sprzyja rozwijaniu się chorób piersiowych. Helena, stojąc za nimi, czekała.

— Posłuchaj pan sam — rzekł Bodin, ustępując miejsca Henrykowi.

Ten pochylił się, chciał podnieść Joannę. Nie otworzyła powiek; rozpalona gorączką, poddawała się badaniu. Z pod rozpiętej koszulki ukazywała się pierś dziecka; nic czystszego, nic bardziej rozrzewniającego być nie mogło nad to ciałko dojrzewającej już kobiety, a jeszcze dziecka, dotknięte palcem śmierci. Nie buntowała się wcale przeciw rękom starego doktora. Ale zaledwie palce Henryka dotknęły jej, targnęła się jak gdyby uderzona jakąś straszną siłą. Uczucie wstydu nagle zbudziło ją z tego stanu nieczułości, w jakim była pogrążona. Jak młoda kobieta, niespodzianie zaskoczona, przycisnęła swe biedne chude rączki do piersi, i drżącym głosem wyjąkała:

— Mamo... mamo!...

I otworzyła oczy. Kiedy poznała człowieka, stojącego koło niej, przeraziła się gwałtownie. Spostrzegła, że leży naga, i żywo zakrywając się prześcieradłem, płakała ze wstydu. Zdawało się, że umierając postarzała o lat dziesięć, i że zbliżając się do śmierci, dwanaście jej lat dojrzały na tyle, że zrozumiała, iż mężczyzna ten nie powinien dotykać jej i odnaleść w niej matkę. Znowu krzyknęła — wołając na pomoc:

— Mamo... mamo.. proszę cię...

Helena, która dotąd nie przemówiła jeszcze ani słowa, teraz stanęła tuż przy Henryku. Z twarzą marmurową silnie wpatrywała się w niego. Wreszcie głosem przytłumionym to tylko wymówiła:

— Odejdź ztąd!

Doktor Bodin starał się uspokoić Joannę, którą paroksyzm kaszlu straszliwie wstrząsał. Upewniał ją, że nikt się jej sprzeciwiać nie będzie, że wszyscy odejdą i pozostawią ją w spokoju.

— Odejdź ztąd—powtórzyła Helena swoim głębokim, nizkim głosem na ucho kochankowi swemu. — Widzisz przecie, żeśmy ją zabili.

Henryk wyszedł, nie odpowiedziawszy ani słowa. Chwilę jeszcze pozostał w sali jadalnej, czekając sam nie wiedział na co. Widząc wreszcie, że doktor Bodin nie wychodzi, opuścił mieszkanie Heleny; po omacku zeszedł ze schodów, bo Rozalia nie poświeciła mu nawet. Rozmyślał nad piorunowym przebiegiem galopujących suchot, które specyalnie studyował był: płucowe krostki rozszerzą się szybko, duszność coraz bardziej zwiększać się będzie, Joanna nie przeżyje zapewne i trzech tygodni.

Tydzień minął. Słońce wschodziło i zachodziło po nad Paryżem, ale Helena nie miała wyraźnego pojęcia o miarowym, bezlitośnym biegu czasu. Wiedziała, że córka jej skazana na śmierć, i była jak gdyby ogłuszona tym ciosem, co już teraz rozdzierał jej serce. Było to beznadziejne wyczekiwanie, pewność, że śmierć nie przebaczy. Nie miała łez na to; cicho przesuwała się po pokoju i zawsze na nogach, powoli i dokładnie usługiwała chorej. Czasami znużona, padała na krzesło i patrzyła na nią godzinami całemi. Joanna słabła wciąż; gorączka nieustawała, bolesne wymioty zabierały resztę sił. Doktor Bodin przychodził, przypatrywał się jej chwilę, zostawiał receptę; a kiedy wychodził, w twarzy jego był wyraz takiego bezradnego zwątpienia, że matka nie wychodziła nawet za nim, bo nie miała o co go pytać.

Nazajutrz po kryzysie, ksiądz Jouve przybiegł. On i brat jego przychodzili co wieczór, milcząc ściskali rękę Heleny; nie śmieli pytać ją o nowiny. Chcieli po kolei czuwać przy chorej, ale ona odprawiała ich koło dziesiątej, nie chciała nikogo mieć w pokoju swoim w nocy. Jednego wieczora, ksiądz, który od wilii dnia tego zdawał się być mocno czemś zajęty, odprowadził ją na stronę.

— Przyszła mi na myśl rzecz jedna—szepnął.—Zdrowie dziecka nie pozwoliło dotąd... Mogłaby tutaj przyjąć pierwszą komunią...

Helena nie zrozumiała z początku, o co mu chodzi. Pomimo całej tolerancyi swojej, ksiądz w tej chwili był tylko księdzem, troszczącym się o sprawy nieba; to ją zadziwiło a nawet uraziło trochę. Z niedbałym ruchem odpowiedziała:

— Nie, nie, nie chcę jej męczyć... Bądź pewny, że jeżeli jest raj, to ona i tak wejdzie do niego.

Ale dnia tego Joanna w owym stanie polepszenia, co tak zwodzi umierających, ostrym słuchem chorej usłyszała, co mówił ksiądz.

— To ty, mój kochany — rzekła. — Mówisz o komunii... To nastąpi wkrótce, nieprawdaż?

— Zapewne, kochanko — odpowiedział.

Przywołała go do siebie, chciała z nim mówić. Matka podniosła ją i oparła na poduszce. Siedziała tak, malutka; spalone usteczka uśmiechały się, a z błyszczących oczu przeglądała już śmierć.

— Oh! bardzo mi dobrze — rzekła — wstałabym, gdybym chciała... Powiedz, dasz mi białą sukienkę z bukietem?... Czy kościół będzie tak piękny, jak na nabożeństwo Maryi?

— Piękniejszy jeszcze, moja pieszczotko.

— Na prawdę? i tyle kwiatów będzie, i tak ładnie będą spiewali? Wkrótce, wkrótce, obiecujesz mi to?

Promieniała radością. Patrzyła przed siebie, na firanki łóżka, i wpadając w zachwycenie, mówiła, że kocha bardzo dobrego Boga i że widziała go kiedy spiewano hymny. Słyszała organy, widziała światła wirujące i kwiaty latające jak motyle. Wtem gwałtowny kaszel porwał ją i bezsilną odrzucił na łóżko. Ale uśmiechała się jeszcze, zdawała się nie czuć tego, że kaszle.

— Wstanę jutro — powtarzała — nauczę się katechizmu bez omyłki, wszyscy będziemy bardzo radzi.

Helena, stojąc przy nogach jej, załkała. Ona, co nie mogła płakać, słysząc teraz śmiech Joanny, uczuła, że łzy ją duszą. Kryjąc swą rozpacz, uciekła do sali jadalnej. Ksiądz poszedł za nią. Pan Rambaud szybko powstał i zbliżył się do małej, starając się odwrócić jej uwagę.

— Co to? mama krzyknęła, czy ją zabolało co? — spytała.

— Mama? — odpowiedział. — Ależ mama nie krzyknęła wcale, tylko się zaśmiała; tak wesoła jest, bo ty masz się lepiej.

W jadalnym pokoju Helena z głową, opartą na stole, ze złożonemi rękami, tłumiła łzy swe. Ksiądz pochylał się nad nią błagający, by się uspokoiła. Ale ona podniosłszy twarz zalaną łzami, oskarżała siebie, mówiąc, że zabiła córkę, i krótkiemi, urywanemi słowy wyznała mu wszystko. Nigdy nie byłaby upadła, gdyby Joanna była przy niej. Wypadek zrządził, że się spotkała z nim w tym nieznanym pokoju. Mój Boże! powinnaby umrzeć wraz z dzieckiem. Nie mogła żyć dłużej. Ksiądz przestraszony uspakajał ją, obiecując prze baczenie nieba.

Zadzwoniono, głosy odezwały się w przedpokoju. Helena ocierała łzy, kiedy Rozalia weszła.

— Pani, to doktor Deberle...

— Nie chcę, żeby wchodził.

— Zapytuje jak się panienka ma

— Powiedz mu, że umiera.

Drzwi były otwarte, Henryk słyszał te słowa. Nie czekając powrotu sługi, wyszedł. Codziennie przychodził, tę samą odbierał odpowiedź i wychodził.

Wizyty szczególnie męczyły Helenę. Te kilka pań, które poznała była u pani Deberle, uważały za swój obowiązek odwiedzać ją i pocieszać. Pani de Chermette, pani Levasseur, pani de Guirand i inne jeszcze przychodziły. Nie żądały widzieć chorej, ale tak głośno rozpytywały o nią Rozalię, że głosy ich przebijały cienkie ściany mieszkania. Zniecierpliwiona wówczas Helena przyjmowała je w sali jadalnej, stojąc i odpowiadając krótko. Cały dzień była w kaftanie, a piękne swe włosy poprostu zwijała i przypinała. Twarz miała zaczerwienioną; zmęczone oczy zamykały się, a z ust słowa wychodziły ciężko, powoli. Kiedy Julia przychodziła, nie mogła zamknąć przed nią pokoju i musiała pozwolić jej usiąść na chwilę przy łóżku chorej.

— Moja droga — rzekła raz Julia przyjaźnie — nadto się poddajesz smutkowi. Trzeba mieć trochę odwagi.

I Helena musiała odpowiadać na to, kiedy pani Deberle chcąc ją rozerwać, mówiła o wypadkach, które zajmowały Paryż.

— Wiesz, że stanowczo będziemy mieli wojnę... Bardzo mi to przykro, mam dwóch kuzynów, co pójdą na wojnę.

I tak wracając ze swych wycieczek po Paryżu, ożywiona gadając, wnosiła do cichego pokoju chorej szelest długiej sukni i próżną paplaninę światowej kobiety; naprożno zniżała głos, przybierała litościwą minkę, przez to wszystko wrodzona jej obojętność przebijała; łatwo się było domyślić, że czuła się szczęśliwą i tryumfowała ze zdrowia swego. Helena podwójnie cierpiała przy niej, dręczona zazdrością!

— Pani — szepnęła jednego wieczora Joanna — czemu Lucyan nie przychodzi tu pobawić się?

Julia zażenowała się na chwilę i uśmiechnęła tylko.

— Czy i on także słaby? — ponownie spytała mała.

— Nie, kochaneczko, on nie chory... W szkole jest.

I potem, kiedy Helena przeprowadzała ją do przedpokoju, chciała wytłumaczyć jej swe kłamstwo.

— Oh! przyprowadzę go, wiem, że to nie jest zaraźliwe... Ale dzieci przestraszają się tak łatwo, a Lucyan taki głupi! Gotów byłby rozpłakać się, spojrzawszy na twego biednego anioła...

— Tak, tak, masz pani słuszność — przerwała Helena — a serce jej rozdzierało się, patrząc na tę kobietę tak wesołą, i która miała u siebie zdrowe dziecko.

Drugi tydzień upłynął. Choroba szła swoją drogą i co godzinę zabierała trochę życia Joannie. Nie spieszyła się wcale, niszcząc to wątłe, śliczne stworzenie; nie ominęła ani jednego kroku w bezlitośnym pochodzie swoim, nie darowała biedaczce ani jednej chwili wytchnienia. Joanna przestała plwać krwią, chwilami kaszel ustawał. Taka duszność przygniatała dziecię, że po ciężkim jej oddechu można było poznać, jak wielkie spustoszenie sprawiła choroba w jej słabej piersi.

Było to za wiele na tak słabe siły; oczy księdza i pana Rambaud napełniały się łzami, słuchając tego. Całymi dniami, całemi nocami słychać było za firanką ciężki oddech; biedne stworzenie, które, jak się zdawało, jedno potrącenie zabić powinno było, w pocie czoła pracowało nad zakończeniem swego życia i nie mogło umrzeć. Matka, która goniła ostatkiem sił, nie mogąc znieść dłużej chrapania tego, uciekała do sąsiedniego pokoju i tam głowę o mur opierała.

Powoli Joanna odosobniała się od świata. Nie widziała już ludzi, na twarzy miała wyraz rozmarzenia i roztargnienia, jak gdyby żyła już gdzieś zupełnie samotnie. Kiedy osoby, które ją otaczały, chciały ściągnąć jej uwagę i wymieniały nazwiska swoje, chcąc by je poznała, wówczas patrzyła na nie przez chwilę niewzruszenie, bez uśmiechu, a potem odwracała się do muru z miną zmęczoną. Cień jakiś otaczał ją, odchodziła zadąsana, i rozgniewana, jak za owych smutnych dni swoich przystępów zazdrości. Czasami jednak jakiś kaprys budził ją z odrętwienia. Jednego rana zapytała matkę:

— To niedziela, dzisiaj?

— Nie, moje dziecię — odrzekła Helena. — Mamy dopiero piątek... Dla czego pytasz o to.

Ale ona zdawała się zapominać, o co pytała. Na trzeci dzień jednak, kiedy Rozalja była w pokoju — rzekła do niej półgłosem:

— To niedziela... Zefiryn jest tam, poproś go, żeby przyszedł.

Służąca wahała się; ale Helena dała jej znak przyzwolenia. Dziecię powtarzało:

— Przyprowadź go, przyjdźcie oboje—będę rada.

Kiedy Rozalia weszła z Zefirynem, dziewczynka podniosła się z poduszki. Żołnierz, z nagą głową, z rękami opuszczonemi, kołysał się dla ukrycia wielkiego wzruszenia. Bardzo lubił panienkę, i prawdziwie przykro mu było, że ją

widział w takim stanie. To też pomimo przestróg Joanny, która nakazała mu, by był wesoły, spostrzegłszy chorą tak bladą, tak zeszczuplałą, stanął jak głupi z twarzą zmienioną. Pomimo miny zdobywcy, zachował serce czułe. Nie mógł zdobyć się ani na jeden z owych pięknych frazesów, które teraz przychodziły mu z taką łatwością. Sługa uszczypnęła go z tyłu, by go rozśmieszyć. Ale on wyjąkał tylko:

— Przepraszam... panienkę i kompanią...

Joanna podnosiła się jeszcze na swych chudych rączkach, otwierała swe wielkie bez wyrazu oczy, jak gdyby szukała czekoś. Główka jej trzęsła się, światło raziło ją zapewne, co się pogrążała już w cieniu.

— Zbliż się, mój przyjacielu— rzekła Helena do żołnierza. Panienka chciała widzieć.

Słońce wchodziło do pokoju przez okno, tworzące wielki otwor żółty, w którym prochy dywanu tańczyły. Marzec nadszedł, wiosna rozpoczynała się. Zefiryn zrobił krok naprzód i stanął na słońcu; okrągła jego twarzyczka miała złotawy odblysk, niby zboże dojrzałe; guziki surduta świeciły się, a pąsowe spodnie czerwieniły niby pole, zasiano makiem. Joanna dostrzegła go nareszcie. Ale oczy jej znowu niespokojne, niepewne błądziły z jednego kąta w drugi.

— Czego chcesz, moje dziecię?—spytała ją matka. Jesteśmy tu wszyscy.

Ale zaraz zrozumiała, o co dziecku chodzi.

— Rozalio, zbliż się... Panienka chce ciebie widzieć.

Rozalia z kolei stanęła na słońcu. Miała na głowie czepek, którego szarfki, odrzucone na ramiona, podlatywały jak skrzydła motyle. Złocista kurzawa padała na jej twarde czarne włosy i na poczciwą twarz o spłaszczonym nosie i grubych wargach. I w promieniu słonecznym dwoje ich tylko stało w pokoju, żołnierz i kucharka. Joanna patrzała na nich.

— I cóż, moja droga — nic im nie mówisz?... Oto stoją razem.

Joanna patrzała na nich; głowa jej lekko trzęsła się jak u bardzo starej kobiety. Stali tak jak mąż i żona, co mają się zaraz wziąć pod rękę i wrócić do kraju. Wiosenne powietrze ogrzewało ich, a chcąc rozweselić panienkę, zaczęli się śmiać do siebie z miną głupowatą a czułą. Gdyby byli sami, z pewnością byłby objął Rozalią i dostałby od niej za to potężnego policzka. Widać to było z ich oczu.

— I cóż, kochanko — nie masz nic do powiedzenia im?

Joanna patrzyła na nich wciąż; oddech jej stawał się co raz cięższy. Nie rzekła ani słowa. Nagle zalała się łzami. Zefiryn i Rozalia musieli natychmiast wyjść z pokoju.

— Przepraszam.... panienkę i kompanię..., powtórzył wychodząc żołnierz, który zgłupiał na ten widok.

Był to jeden z ostatnich kaprysów Joanny. Wpadła w usposobienie ponure, z którego nic ją wyrwać nie mogło. Rozstawała się ze wszystkiem, nawet ze swą matką. Kiedy ta pochylała się nad nią, szukając jej spojrzenia, dziecię zachowywało twarz martwą, jak gdyby tylko cień firanek padł na jej oczy, Milcząca i smutnie zrezygnowana, podobna była do nieszczęśliwej, opuszczonej istoty, która czuje się skazaną na śmierć. Czasami długo leżała z powiekami na wpół przymkniętemi, a z zamglonego spojrzenia niepodobna było odgadnąć jaka uparta myśl pochłaniała ją. Nie istniało już dla niej nic, nic, tylko ta wielka lalka, co leżała koło niej. Pewnej nocy podano ją dziewczynce — dla rozerwania jej myśli przy straszliwych cierpieniach; i nie chciała odtąd rozstać się z nią, broniła jej dzikim ruchem, jeżeli chciano ją zabrać. Lalka z głową, złożoną na poduszce, leżała wyciągnięta i przykryta kołdrą, jak osoba chora. Zapewne dziecię pielęgnowało ją, bo od czasu do czasu rozpalone jej rączki dotykały różowej skóry i biednych powykręcanych członków. Godzinami całemi wpatrywała się w te oczy z emalii, zawsze nieruchomie patrzące, i te zęby białe, które wiecznie się uśmiechały. Czasem przychodziły napady czułości; przyciskała ją do piersi, opierała policzek o małę peruczkę, której dotknięcie zdawało się jej ulgę przynosić. I tak szukała ucieczki w miłości ku swej wielkiej lalce; budząc się, oglądała, czy ją ma koło siebie, rozmawiała z nią, czasami nawet na twarzy jej przemknął niby cień uśmiechu, jak gdyby lalka szepnęła jej coś na ucho.

Trzeci tydzień kończył się. Jednego poranku stary doktor zamiast wyjść jak zwykle po krótkiej wizycie został przy chorej. Helena zrozumiała znaczenie tego kroku: dziecię jej nie miało przeżyć dnia tego. Od wczoraj już sama była w takiem osłupieniu, że nie wiedziała co robi. Nie walczono już ze śmiercią jej dziecięcia, rachowano tylko godziny jego życia. Chora miała straszne pragnienie i doktor kazał jej podawać napój, zawierający opium dla ułatwienia konania; to zaniechanie wszelkich lekarstw pozbawiło Helenę przytomności umysłu. Dopóki jeszcze lekarstwa stały na stole, spodziewała się jak gdyby cudu, który miał uleczyć jej córkę. Teraz kiedy flaszeczka i pudełka poznikały, ostatnia nadzieja uchodziła z niemi. Jedno już tylko pozostało jej uczucie: instynktowa potrzeba nie opuszczania Joanny ani na chwilę i ciągłego patrzenia na nię. Doktor, chcąc przeszkodzić temu strasznemu wpatrywaniu się w konającą, starał się pod rozmaitymi pozorami usuwać Helenę z pokoju. Ale ta wracała do niego wciąż: fizyczna siła przyciągała ją do łóża chorej. Wyprostowana z rękami opuszczonemi, z okropnym wyrazem rozpaczy na twarzy, czekała ostatniej strasznej chwili.

Koło pierwszej godziny ksiądz Jouve i pan Rambaud przybyli. Doktor wyszedł na ich spotkanie i szepnął słów kilka. Obydwaj pobledli. Stanęli jak wryci, a ręce ich trzęsły się gwałtownie. Helena nie odwróciła się nawet.

Dzień był przepyszny, jeden z owych jasnych, słonecznych dni kwietniowych. Joanna poruszyła się. Usta jej, spalone gorączką, chwilami trzęsły się z lekka w skutek pragnienia, które ją trawiło. Wysunęła z pod kołdry swoje biedne, przezroczyste rączki i powoli przesuwała je w powietrzu. Głucha praca choroby skończyła się, kaszel ustał, a głos konającego stał się podobnym do oddechu. Zaczęła obracać głową, oczami szukała światła. Doktor Bodin szeroko otworzył okno. Chora przestała się poruszać i z twarzą opartą na poduszce, z ciężkim oddechem, który się stawał coraz wolniejszym, spoglądała na Paryż. Przez te trzy tygodnie cierpienia nieraz zwracała wzrok swój na miasto. Wyraz twarzy jej stawał się wówczas poważny, myślała. W ostatniej godzinie życia jej Paryż uśmiechał się pod młodocianymi promieniami kwietniowego słońca. Ciepły powiew powietrza, śmiechy dziecięce, świergotanie wróblów dolatywały aż do niej. Joanna, ostatkiem sił swoich goniła okiem słupy dymów, roznoszących się po nad odległemi przedmieściami. Odnajdywała dawnych swych znajomych: Inwalidów, Panteon, wieżę świętego Jakóba; po za niemi rozpoczynał się nieznany świat. Zmęczone powieki dziewczęcia przymykały się na wpół przed rozległem morzem dachów. Może myśliła o tem, że powoli sama stawała się coraz lżejszą, że odlatywała jak ptak. Nakoniec, miała się dowiedzieć o wszystkiem; poruszy tylko skrzydłami razy kilka i uniesie się na szczyt kopuł i wież, a ztamtąd ujrzy to, co ukrywają przed dziećmi. Nowy niepokój ogarnął ją po chwili; ręce zaczęły szukać czegoś; uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy znalazła swoją wielką lalkę; ujęła ją, przycisnęła do swojej piersi. Chciała ją zabrać z sobą. Wzrok jej tonął w dali, błąkając się wśród kominów, zaróżowionych od słońca.

Czwarta godzina wybiła, wieczorem zasłona cieniów powoli się osuwała. Był to koniec, konanie powolne i spokojne. Drogi anioł nie miał już siły bronić się. Pan Rambaud, pokonany wzruszeniem, łkał po cichu, kryjąc się za firanką. Ksiądz ukląkł u wezgłowia i ze złożonemi rękami szeptał modlitwy za konających.

— Joanno, Joanno — przemówiła Helena — a niewysłowiony przestrach ścinał lodem krew jej w żyłach.

Odepchnęła doktora, rzuciła się na ziemię i oparła się o łóżko, by módz z bliska patrzeć na córkę. Joanna otworzyła oczy, ale nie spojrzała na matkę. Wzrok jej wciąż szedł tam na Paryż, który znikał. Mocniej jeszcze przycisnęła do serca lalkę, swą ostatnią miłość. Pierś jej podniosła się ciężkiem westchnieniem, potem dwa razy jeszcze lżej westchnęła. Oczy bladły, na twarzy chwilowo pojawił się wyraz żywego niepokoju. Ale wkrótce drobne rysy wypogodziły się; przestała oddychać, usta pozostały otwarte.

— Skończyło się — rzekł doktor — biorąc ją za rękę.

Joanna wielkiemi swemi, martwemi oczami patrzała na Paryż. Długa twarzyczka przeciągnęła się jeszcze, rysy stały się ostre, szary cień padał na nie od brwi ściągniętych; po śmierci zachowała blade oblicze kobiety zazdrośnej. Lalka z odrzuconą głową, z obwisłymi włosami, zdawała się być martwa jak ona.

— Skończyło się — powtórzył doktor — puszczając małą, zimną rączkę.

Helena dłońmi ścisnęła skronie swe, jak gdyby czuła, że czaszka jej ma pęknąć. Nie płakała, obłąkanym wzrokiem tylko patrzyła przed siebie. Ściskało ją w gardle; w nogach łóżka spostrzegła parę małych trzewiczków zapomnianych. Skończyło się, Joanna nie włoży ich już więcej, trzewiczki można oddać ubogim. Łzy jej popłynęły; klęczała na ziemi, opierac twarz swą na ręce umarłej, która się osunęła. Pan Rambaud płakał. Ksiądz podniósł głos; Rozalia, stojąc w na-wpół otwartych drzwiach jadalnego pokoju, kąsała chustkę swą, tłumiąc łkanie.

W tej właśnie chwili doktor Deberle zadzwonił. Nie mógł przezwyciężyć w sobie pragnienia dowiedzenia się czegoś.

— Jak się ma, chora? — zapytał.

— Ach! panie — wyjąkała Rozalia—umarła.

Stanął nieruchomy, zadziwiony tem rozwiązaniem, którego z dnia na dzień sam się spodziewał. Wreszcie szepnął:

— Mój Boże! biedne dziecię! — jakie nieszczęście!

I nie potrafił zdobyć się na nic więcej. Drzwi zamknęły się, doktor zeszedł ze schodów.

(C. d. n.)

---

*

Piśmiennictwo polskie.

(„*Oskar Peschel*", *Historya wielkich odkryć geograficznych w* XV *i* XVI *wieku, przełożył z niemieckiego Józef Tretiak. Lwów, nakładem Księgarni Polskiej 1878*).

Oskar Peschel należy do zastępu wielkich geografów niemieckich, na czele którego stoi ojciec nowożytnej geografii, Wilhelm Humboldt. Nie ma on wprawdzie tak wszechstronnych zasług, jak Humboldt, nie był podróżnikiem, nie czerpał wiedzy własnemi oczyma i uszyma, nie ma zatem tej samodzielności, jaką się odznaczają dzieła autora „Kosmosu", ale ma to samo zamiłowanie przedmiotu, ten sam zmysł dla natury, tę samą pilność i bezstronność w dochodzeniu prawdy, wreszcie równie kolosalną Herudycyą, przystrojoną w styl ozdobny i barwny.

„Historya wielkich odkryć geograficznych" była pierwszem większem dziełem tego znakomitego pisarza; wydając ją, Oskar Peschel, mało był jeszcze znany uczonemu światu, daleki jeszcze od tej sławy, jaka potem otaczała jego imię. Ale tem właśnie dziełem odrazu dobił się wysokiego stanowiska między europejskimi uczonymi i pomimo, że już lat dwadzieścia upłynęło od czasu pierwszego wydania tego dzieła, nic się przecież w tym samym przedmiocie nie okazało potem takiego, nietylko w Niemczech, ale i w literaturze całego świata, coby jako tako mogło iść z niem w zawody.

Prawdopodobnie autor rozpoczynając swoje dzieło, naznaczał mu większy zakres od tego, jaki mu ostatecznie nadał. Sam się przyznaje w jednym z przypisków (str. 369), że byłoby bardzo ponętną rzeczą zapuścić się w historyą tak zwanej Conquisty (podbicie Meksyku i Peru), która jest dalszym ciągiem wielkich odkryć geograficznych XVI wieku, ale że po ukazaniu się dzieł Prescotta, ten sam przedmiot traktujących, (The conquest of Mexico i The conquest of Peru), musiała go odpaść podobna ochota. Ale jeżeli doprowadził historyą swoją tylko do zetknięcia się Portugalczyków z Hiszpanami na Molukkach i do pierwszej wyprawy naokoło świata, to jest mniej więcej do trzeciego dziesięciolecia szesnastego wieku, to za to na początku głęboko sięgnął w przeszłość i podał, naturalnie w nieco krótszym zarysie, nietylko historyą pierwszych wypraw na Atlantyk, które się już w czternastym wieku poczynają, ale i ogólny pogląd na stosunki ze Wschodem w starożytności.

Historya Peschla podzieloną jest na cztery księgi. Pierwsza z nich nosi tytuł „Dojrzewanie wielkich odkryć" i jest jakby obszernym wstępem do właściwej historyi odkryć. Podawszy wspomniany już przegląd dawniejszych stosunków ze wschodem i historyą odkrycia i kolonizacyi wysp Kanaryjskich i Azorów, jako też historyą wszystkich wypraw portugalskich brzegiem Afryki aż do odkrycia przylądka Dobrej Nadziei przez Bartolomea Diasa, zajmuje się ta księga następnie projektem Kolumba, charakterystyką i prywatną historyą jego osoby, nareszcie charakterystyką współczesnych stosunków politycznych i społecznych w Hiszpanii, o ile te sprzyjały lub stały na zawadzie zamiarowi wielkiego odkrywcy. Pierwszy rozdział („Stosunki ze Wschodem w starożytności") stara się pomieścić niezmierny zapas erudycyi w zbyt szczupłych ramach i dla tego może nieco znudzić czytelnika niedostatecznie przygotowanego do spotkania się z wielką masą faktów, podanych zbyt węzłowato. Ale już następne rozdziały wynagrodzą cierpliwość jego i rozwiną przed nim ciekawe obrazy nawpół bohaterskich, nawpół rozbójniczych wypraw, których koroną było odkrycie drogi morskiej do Indyi wschodnich dokoła Afryki.

Druga księga poczyna się z wyjazdem Kolumba, kończy się z jego śmiercią, nie samym jednak tylko Kolumbem się zajmuje. Znajdujemy tu obok historyi Kolumbowego odkrycia nader ciekawe obrazy stosunków społecznych na wyspach Antylskich, jakie się przedstawiły oczom pierwszych odkrywców, smutne dzieje pierwszej kolonizacyi, wreszcie współczesne Kolumbowi wyprawy innych żeglarzy, jak Sebastyana Cabota i Ameriga Vespucci, którzy się najbardziej przyczynili do zdjęcia zasłony ze wschodnich brzegów stałego lądu Ameryki. Trzecia księga szczegółowa opowiada historyę odkryć w zatoce meksykańskiej, awanturnicze i pełne straszliwych przygód wyprawy Lacosy, Nicuesy, Hojedy i innych, bohaterskie przedarcie się Balboi do oceanu Wschodniego, wreszcie wpływ pierwszych kolonii europejskich na krajową ludność i wogóle na miejscowe stosunki. Ostatnia księga, nosząca tytuł „Dwie drogi morskie na wschód" zajmuje się wyprawą Vasca de Gamy do Indyi i usadowieniem się Portugalczyków na brzegu malaborskim, w Malakka i na Molukkach, następnie opowiada wyprawę Magellana, czyli odkrycie drogi zachodniej do Azyi, spór Hiszpanów z Portugalczykami o Molukki, w końcu przedstawia wrażenie, z jakiem współczesna Europa przyjmowała wiadomości o tych wszystkich wielkich odkryciach.

Peschel nie należy do historyków, dających się unosić fantazyi, a nawet choćby do tych, co jej z lekka popuszczają cugle. Z tego powodu nie można powiedzieć o jego historyi, że jest pisaną jak romans, i czytelnik, któryby szukał tylko ciekawych opowiadań, nie bardzo się troszcząc o ich wiarogodność, możeby nie zasmakował w tem dziele, które ma za zadanie przedstawić czytelnikowi nie to co mogło być, ale to tylko, co było. Ale czytelnik, mający zmysł dla prawdy, dozna szczególnej przyjemności w tem zaufaniu, jakie w nim budzi rzetelność autora, w tej pewności, że go autor ani na krok nie sprowadza z twardego gruntu autentycznych faktów na chwiejny grunt historycznych hypotez. Czytelnik, przytem obdarzony fantazyą, sam potrafi ze szczegółów podanych przez autora w jej historycznej nagości, stworzyć sobie zajmujący obraz, tem bardziej, że tu i ówdzie autor pobudza jego fantazyą barwnem jakiemś wyrażeniem.

Żeby jednak czytelnik nie myślał, że wyobraźnia jego zbyt wiele sama będzie musiała pracować, żeby się zbyt nie lękał erudycyi autora podajemy na próbę parę ustępów z dzieła Peschla. Lepiej od wszelkich określeń nauczą one jakim jest styl i sposób opowiadania autora, a zarazem dadzą wyobrażenie o polszczyźnie przekładu. Pierwszy ustęp dotyczy jednego z najśmielszych awanturników i najdzielniejszych ludzi *tej wielkiej epoki, hiszpańskiego rycerza Hojedy*, który w małem ciele łączył nadzwyczajną siłę, wytrwałość i zręczność z męską pięknością i wspaniałomyślnością. Należał on do drugiej wyprawy Kolumba, a potem na własną rękę założył kolonię na niezdrowem wybrzeżu Uraby. Kolonia ta, jak bardzo wiele pierwszych kolonii hiszpańskich w Nowym świecie, znalazła się wkrótce w bardzo smutnem położeniu: z jednej strony trapili ją krajowcy, uzbr[illegible] w zatrute strzały, z drugiej strony głód zaczął dokuczać. Pewien korsarz, imieniem Talavero, dowiózł im był wprawdzie żywności, ale i to na długo nie mogło starczyć:

„Ponieważ i zapasy przywiezione przez Talavarę były bliskie wyczerpania, a Enciso się nie pokazywał, to ogólna chęć powrotu do ojczyzny zaczęła się tak burzliwie objawiać, że Hojeda musiał przyrzec, iż sam się uda na okręcie Talavery do Espanioli i ztamtąd sprowadzi zapasy żywności. Dopiero gdyby nie wrócił w przeciągu dni 50, wolno będzie osadnikom odpłynąć. Swoją naczelną władzę poruczył na czas nieobecności człowiekowi, o którym śmiało można powiedzieć, że bojaźń znał tylko ze słyszenia. Był to syn pewnego kapitana piechoty z nieślubnego małżeństwa z jakąś kobietą z niskiego stanu. Podanie powiada, że nowonarodzonego złożono pod bramą kościelną rodzinnego jego miasteczka Truxillo, gdzie go maciora mlekiem karmiła. Ojciec przyznał się potem do swego płodu, i chłopiec, rosnąc w brudzie i ignorancyi, pasł świnie w Truxillo, aż póki chcąc ujść ojcowskiej kary nie uciekł ztamtąd i nie dostał się do Indyi Zachodnich. Ten człowiek, uświetniony potem tytułem margrabiego, nazywał się Franciszek Pizarro, i mógł już liczyć wówczas lat czterdzieści. Hojeda zatem z Talaverą i jego towarzyszami odjechał z San Sebastian i wylądował na wybrzeżu Kuby, gdzie awanturnicy z obawy sprawiedliwości umyślnie okręt zostawili i lądem puścili się do wschodniej kończyny wyspy, ażeby ztamtąd ukradkiem przepłynąć do Espanioli. Niebawem surowa dyscyplina i władza Hojedy tak się stała nieznośną dla zbójeckiej drużyny, że ci go skrępowali, ale byli tak mądrzy, że go rozwiązali, gdy spotkano Indyan, w utarczce bowiem jego szpada i odwaga działała skuteczniej od sił reszty kompanii, której Hojeda dość często objawiał swoją najgłębszą pogardę i którą przyrzekał posiekać w kawały, jeżeli ktoś raz jeszcze ośmieli się położyć nań rękę. Przedzierając się przez podzwrotnikową gęstwinę, brodząc, to wpław się puszczając przez stojące wody i bagna, dążyli brzegiem naprzód, a gdy wkrótce ich szczupłe zapasy wyczerpały się, to musieli się uciekać do jadalnych dzikich korzonków, a pragnienie zaspokajać mętną s ołnawą wodą z lagun. Hojeda miał w swoim węzełku podróżnym obraz N. Panny, który zawsze nosił z sobą; była to robota pewnego flandryjskiego mistrza, którą otrzymał Hojeda w darze od swego protektora Fonseki. Przy każdym odpoczynku zawieszał obraz Bożej Rodzicielki na gałęziach drzewa, rzucał się przed nią na kolana i zmuszał swoich towarzyszy do podobnego nabożeństwa. To źródło pociechy, ostatni swój klejnot, ślubował Hojeda zostawić w pierwszej indyjskiej osadzie, jeżeli jaką napotkają. Przez dni trzydzieści przedzierano się przez leśną puszczę i już ze siedmdziesięciu towarzyszy Hojedy połowa legła na drodze, gdy nareszcie dostano się do Cueyba, indyjskiej osady, której mieszkańcy gościnnie przyjęli wędrowców. Tutaj dopełnił Hojeda ślubu. Zbudował małą kaplicę i ołtarz dla obrazu, i pozostawił go krajowcom; ci, jakimś tajemniczym instynktem wiedzeni, wielkie nabożeństwo mu okazywali i natychmiast uświetnili dar otrzymany świętym eposem to jest swoim tańcem Areyto. Łodzią, której kubańscy gospodarze pożyczyli, przesłano wiadomość o sobie Hiszpanom na Jamaice, i namiestnik wyspy posłał okręt po awanturników. Tak więc po długiem

błąkaniu się do ¡echa. Hojeda do Santo Domingo, bez okrętu, z pustą kieszenią, przestraszający przykład dla wszystkich goniących za szczęściem; a w każdym razie bez sposobu dotrzymania obietnicy danej osadnikom w Uraba. Groziło mu nawet śledztwo kryminalne, posądzono go bowiem o udział w rabunku Talavery *), ale nie spotkała go ta przykrość. Umarł w jakiś czas potem w największej nędzy. Alonso w każdym razie należy do postaci owego bohaterskiego pokolenia Hiszpanii, co się puszczało na niebezpieczne ścieżki odkryć i cały świat nowy owładnęło. Jeżeli i on nie był wolnym od skaz swego wieku i swego rzemiosła, jeżeli granica rzeczy dozwolonych była dlań dopiero tam, dokąd nie sięgała jego giętka szpada, to przecież odwagą, wytrwałością i nienasyconą żądzą odkryć przewyższał swoich towarzyszy, nad którymi wysoko go stawiało jego arystokratyczne usposobienie, nigdy bowiem nie zniżał się do zemsty i za wszelkie krzywdy odpłacał tylko pogardą".

Drugim ustępem jest krótki, ale malowniczy opis cieśniny Magiellańskiej, jak się ona przedstawiła towarzyszom nieustraszonego Magelhacusa, którego żadne przeszkody, żadne niebezpieczeństwa, nawet bunt podwładnych, nie zdołał zachwiać w bohaterskiem postanowieniu wynalezienia drogi zachodniej do Azyi:

„Cieśninę Magelańską tworzy z jednej strony dziwnie poszarpany archipelag Ziemi Ognistej, z drugiej wysunięte cyple i zwodnicze kanały obfitej w rozgałęzienia południowej kończyny Ameryki. Jest to łańcuch skalistych odnóg z wąskiemi, pozaginanemi wyjściami, u których ścian ołowianka dna nie dostaje, i które często wabią żeglarza w fałszywe i zamknięte zatoki. Żaglowce, które podobnie jak eskadra Magalhaensa wjeżdżają do cieśniny przez atlantyckie ujście, muszą walczyć z przeciwnymi wiatrami, i potrzeba było nie tylko wielkiej żeglarskiej wprawy, aby znaleźć drogę w tym dziwnym labiryncie, ale i niezwykłej stanowczości, aby się nie zlęknąć tych przepaści i skał o dziwnych kształtach, które fantazya, jak wszystko co nieznane, zaludniała niebezpieczeństwami. Od przylądka Froward na półwyspie Brunszwik (53° 54' p. sz.) załamuje się cieśnina nagle ku północo-zachodowi, i w tym punkcie zmienia się także i krajobraz, gdy bowiem atlantycka połowa przedstawia obszerne ..tystanie z wyspami i mieliznami, a brzeg ozdobiony wiecznie zielonymi krzakami z rodzaju ..rtów, strona od Pacyfiku jest tylko ciasnym wąwozem, gdzie się martwe massy kamienne podnoszą aż do 7000 stóp. Z nastaniem surowej pory wierzchołki gór świecą wiecznym śniegiem a bladobłękitne lodowce zsuwają się aż na krawędź czarnego jak atrament morza. Tylko w miejscach zasłoniętych okazuje się trochę orzeźwiającej zieloności, i grozę ciszy stworzenia przerywają co najwyżej czułe zabawy morsów na nadbrzeżnych ławicah tak, że, wnioskując z wszystkich opisów, dla dusz wrażliwych widok ten mógł najlepiej odpowiadać pojęciu o państwie cieniów.*)

*) Talavera z kilku uczestnikami rabunku został wydany sądom i powieszony.

*) Porówn. Erdumseglung der Fregate Eugenie. Berlin 1856. Bd. 1, S. 119. i Wilhelm Heine, Reise um die Erde Leipzig 1856. Bd. 2 S. 173.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 21. listopada.

(K.) Codzienne pisma nasze już ze wszystkimi szczegółami uwiadomiły publiczność o wypadkach, jakie zaszły w tym tygodniu na ulicach naszego miasta. Trzymając się zakresu naszego pisma poświęconego przeważnie pracom literackim, artystycznym i społecznym, nie możemy wdawać się w obszerniejszy rozbiór i badanie przyczyn, które tę pożałowania godną i uczucia ludzkości oburzającą katastrofę wywołały. Z obowiązku zatem prostego kronikarza notującego fakta wydarzone w ciągu tygodnia, powtórzymy w streszczeniu dzieje tej kilkugodzinnej walki policyi z bezbronną ludnością lwowską.

Pan Hausner wypowiedział świetną mowę w parlamencie wiedeńskim za adresem, który ogromną większością przeszedł, i który przez koronę przejęty został. Razem z krzykami oburzenia partyi krakowskiej przeważnie przez Koło polskie w Radzie państwa reprezentowanej, publiczność lwowska jak również prasa wiedeńska i zagraniczna przyjęły z uniesieniem tę mowę rewindykującą od dawna zapomnianą politykę bezwzględnej sprawiedliwości wolności, ludów politykę szanującą przyrodzone prawa narodów, a wykluczającą dyplomatyzowanie, gdy idzie o zabór w ten sposób, w jaki i z nami przed wiekiem postąpiono. Nic więc dziwnego, że pogląd taki, wypowiedziany śmiało i otwarcie przed forum nietylko Rady państwa, ale i całej Europy, wywołał powszechne uniesienie ludzi czujących jeszcze sumienie na dnie swej duszy, a we Lwowie urósł do granic uwielbienia dla p. Hausnera. Tutejsza Rada miejska udzieliła mu dyplom obywatelstwa honorowego, toż samo zrobiły Brody, Drohobycz, Sambor, Stanisławów; — zapowiedziano ucztę dla posła w kasynie mieszczańskiem, w jednym dniu w samym Lwowie rozchwytano tysiąc egzemplarzy drukowanej jego mowy, a młodzież tutejsza postanowiła uczcić szanownego posła uroczystym pochodem z pochodniami.

Że tak gorący objaw uznania dla pana Hausnera nie mógł się podobać w Krakowie, temu się nie dziwimy, albowiem tam już od dawna, bardzo wiele rzeczy podobających się we Lwowie, nie znajduje miru. Lwów, trzeba to przyznać, jak każde społeczeństwo czujące życie w piersiach, jest nieco gorętszego temperamentu, gdy przeciwnie Kraków zapatruje się na całą przyszłość naszą z gderliwego, i że się tak wyrażę, emerytalnego stanowiska, z hasłem tyle nieszczęśliwej kiedyś polityki margrabiego Wielopolskiego: „Bądź co bądź zgnieść wszelką opozycyą w zarodku". Występując zatem z gwałtowną napaścią na wszelkie dążenia przeciwne jego opinii, na honor i charakter p. Hausnera to jako secesyonisty Koła polskiego, to jako odstępcy sztandaru narodowego, to sprzymierzeńca Moskali i tp., przez cały tydzień dolewał tylko oliwy na ogień lwowski, a co smutniejsza oddziaływał jak się pokazuje na niechęć władz tutejszych, które uznały właściwem zakazać manifestacyi młodzieży. Cóż się więc stało? Oto gdy namiestnictwo potwierdziło zakaz, a „Nowa Pressa" zamieściła pogłoskę, że Ministeryum dozwala na odbycie pochodu — młodzież postanowiła swój zamiar doprowadzić do skutku.

Tymczasem władze policyjne lwowskie, owi patentowani stróże bezpieczeństwa i spokoju publicznego, wiedząc z całą dokładnością nawet o miejscu zebrania się młodzieży zkąd pochód miał wyruszyć, nietylko nie przeszkodziły temu, lecz owszem ukrywszy liczne oddziały policyantów w zaroślach ogrodu Jezuickiego i na dziedzińcu pałacu hr. Fredry, czekały chwili, w której popisać by się mogły ze swoją energią. Czy i w jaki sposób nastąpiło ustawą przepisane trzykrotne wezwanie zgromadzonych do rozejścia się — o tem prowadzące się śledztwo sądowe niedługo nas objaśni — my tylko widzieliśmy, że z całą brutalnością żołdaków, z dobytemi i umyślnie wyostrzonemi pałaszami rzucono się na uciekających, i kieresżowano i bagnetami kłóto każdego kto się tylko nawinął. Walka prowadzona już z zebranymi po ulicach tłumnie i spokojnie idącymi przechodniami, przeniosła się dalej na plac Maryacki, Bernardyński, ulicę Teatralną i Akademicką, przy której właśnie w gmachu kasyna mieszczańskiego odbywała się uczta na cześć p. Hausnera. Czem wytłumaczyć tę zajadłość żołnierzy i gwałtownego dowódzcy ich p. Cossy koncypienta policyjnego, doprawdy nie możemy zrozumieć. Przeszło sześćdziesiąt osób, a pomiędzy temi kilku ciężko zraniono. W liczbie tej są i kobiety i dzieci i ludzie pewnego wieku, których w żaden sposób już o udział w manifestacyi pochodniowej posądzić nie można. Sam Dyrektor policyi ani się pokazał i nawet nie dozwolił przystąpić do siebie oddawszy niższemu urzędnikowi i przebranym agentom całe przeprowadzenie egzekucyi.

Naturalnie że czyn taki, noszący charakter dzikiego napadu na bezbronną ludność, a przypominający kozackie harce w Warszawie, wywołać musiał jednogłośne wzburzenie całego miasta, i tylko gorliwym zabiegom poważniejszych obywateli zawdzięczać należy, iż katastrofa ta nie przybrała groźniejszych rozmiarów. — Na drugi dzień, i do dziś jeszcze nie mogą uspokoić się umysły przerażonych i oburzonych mieszkańców. Rada miejska jednogłośnie zawotowała wysłać deputacyę z zażaleniem do tronu i w tych dniach p. prezydent Jasiński z radnymi pp. Dąbrowskim, Gromanem, i Zukrem wyjeżdżają do Wiednia. — Nie wątpimy że Cesarz dający niejednokrotnie tyle dowodów swej życzliwości dla kraju najwięcej może lojalnego w całej Austrji — rozkaże bliżej roztrząsnąć tę sprawę i przykładnie ukarać winnych zbrodni pogwałcenia praw konstytucyjnych.

Pisma wiedeńskie, których o sprzyjanie krajowi naszemu posądzać nie możemy, jednogłośny wydały krzyk oburzenia, a Moskale w Warszawie, tylko zacierając ręce pokazują Polakom i Słowianom bałkańskim, czego to spodziewać się można po liberalno-konstytucyjnych rządach, które mają pretensyą wpływ moskiewski zluzować na Wschodzie.

Tem smutniej całe to zdarzenie oddziaływać musi na nas, gdy przypomniemy sobie, że władze zarządzające u nas tak w kraju jako i w mieście i w policyi, zostają w rękach osób noszących polskie nazwiska, tu urodzonych, tu wychowanych i mających nawet pretensye do patryotyzmu polskiego... Jeżeli to miała być próbka zgniecenia w każdym razie wiernej tronowi opozycyi przeciw dzisiejszym prądom polityki zagranicznej, to przyznajemy nie udała się zupełnie, i przekonani jesteśmy, że prasa przeciwna warchołom lwowskim, oddałaby prawdziwą usługę obecnej

sytuacyi, gdyby zechciała względniej traktować opinie nasze i nie rozdrażniać wzajemnych stosunków bądź co bądź dzieci jednego kraju i jednej ojczyzny. —

* *
*

Darują czytelnicy, że wobec faktów powyżej opowiedzianych, wobec smutków jakie one w tylu rodzinach lwowskich sprowadziły, wszelkie inne zdarzenia z upłynionego tygodnia zejść muszą na drugie miejsce. — Bankiet na cześć pana Hausnera odbył się w gronie przeszło dwustu osób na którym przemawiali panowie Gross, Alfred Młocki, Ludwik Skrzyński, Hausner, ksiądz Bogdalski i pan Błażowski burmistrz miasta Drohobycza wręczając szanownemu posłowi dyplom honorowego obywatelstwa. Dalej uformował się komitet zbierający składki na rzecz rodzin ubogich ranionych, Magistrat gromadzi autentyczne wiadomości o pokrzywdzonych przy zajściach sobotnich, aby z dokładnym i wiarogodnym memoryałem wystąpić przed sądem i władzami. Wreszcie panowie lekarze miejscowi zajmują się gorliwie niesieniem pomocy ofiarom zagrożonym kalectwem i utratą życia, do liczby których należy przedewszystkiem policzyć pana Gomulińskiego, powszechnie szanowanego kasyera Banku hypotecznego.

Wskutek powszechnego rozstroju umysłów i odczyty i teatr i koncerta wiele na tem cierpią. Na wtorkowem przedstawieniu „Ostatniej Woli“ hr. Fredry ojca, komedyi dopiero trzeci raz granej — teatr nie bardzo był zapełniony. Nim właściwy nasz recenzent teatralny poda, więcej szczegółowe ocenienie tej sztuki, należącej do trzeciej seryi pośmiertnych utworów, a kto wie czy i nie ostatniej, bo w roku 1868 przez p. Aleksandra hr. Fredrę napisanej, my zaznaczymy tylko, że jest ona rzeczywiście jakby ostatnim odbłyskiem talentu dramaturga naszego, niby szkicem narysowanym już drżącą ręką i przy osłabionym wzroku na tle niemającem także określonej barwy. Dlatego patrzy się nań jakby na szacowną pamiątkę po sławnym mistrzu i pomija się z pobłażaniem niedostatki, których by się dostrzedz nie chciało. Lecz jakby dla kontrastu, dano tego samego wieczora jednoaktową komedyę p. Blizińskiego „Mąż od Biedy“, dyszącą życiem, werwą, wykończeniem przypominającemi świetne chwile autora „Ostatniej Woli“. Porównywując zatem te dwie sztuki pokrewnej sobie natury, pociesza się serce każdego miłośnika sceny ojczystej, a z piersi wydobywa się okrzyk: „Le roi est mort, vive le roi! bo pan Bliziński jest godnym pod każdym względem następcą wielkiego komedyopisarza naszego.

TEATR.

(„Pocałunek,“ komedya w 5 aktach, przez Ludwika Docsi, przekład z węgierskiego.)

Jest to bajeczka, na wzór Szekspirowskich bajek dramatycznych, nie tak wprawdzie lotna i skrzydlata jak n. p. Sen nocy letniej, bardzo jednak barwna i migotliwa. Sens moralny tej bajeczki, że ludzie nie wystawieni na pokusy, ani też parci potrzebą do złego powinni być pobłażający dla tych, których potrzeba i pokusa, jak dwie wiedźmy lub czarownice, pchają i ciągną do grzechu. Król Nawarry Sewer, dumny z własnej czystości i swego dworu, surowo karze najmniejsze przekroczenie moralności w swojem państwie. Brat królewski, Adolar, proponuje królowi następujący zakład: niech Sewer na miesiąc oddali się od dworu i zostawi go własnym jego popędom, i niech potem przybędzie pokryjomu, przypatrzy się swoim ludziom z boku, a przekona się, że to, co miał za cnotę, było tylko brakiem pokusy. Ceną zakładu jest kilka wiosek pogranicznych. Sewer przyjmuje zakład, i odjeżdża, ale na to tylko, aby wkrótce powrócić w przebraniu i z ustronia przypatrywać się temu, co się dzieje na jego dworze. Pokusa, którą Adolar kieruje i podnieca, straszliwe tu zrządza zniszczenie: stary notaryusz królewski dla pięknych oczu dziewczęcia wyłazi na drzewo, jedna z cnotliwych dam dworu obdarza hojnie swego kochanka uściskami, a nawet sama królowa, skuszona przez Adolara opowiadaniem o cudownym dyamencie, chwieje się nad przepaścią wiarołomstwa. Wreszcie i sam Sewer, wolny od spojrzeń ludzkich a wystawiany na pokusy, okazuje się równie słabym, jak dwór jego. Przegrywa więc zakład i naturalnie staje się odtąd pobłażliwym dla swoich poddanych.

Jest dużo fantazyi w tej bajeczce, w sytuacyach dużo rubasznego, węgierskiego humoru; pod względem tendencyi komedya jest dobrą satyrą na obłudę obyczajów dworskich. ale brak jej charakterów i dlatego stoi o całe niebo niżej od Szekspirowskich fantazyi dramatycznych.

Dla tego też i artyści nasi nie mieli tu wielkiego pola do popisu. W przedstawieniu brali udział pp: Ładnowski (Adolar), Woleński (Sewer), Zboiński (kanclerz), Fischer (protonotaryusz) i panie: Nowakowska, Ładnowska i Zimajer. Panu Skalskiemu dostała się niezupełnie odpowiednia rola wiejskiego kochanka, Karla, z której jednak o ile to od niego zależało, wywiązał się jak najlepiej. *J. T.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Mowy* posłów Ludwika Wolskiego i Ottona Hausnera opuściły prasę w nowem wydaniu, ponieważ pierwszy nakład w ciągu trzech dni został wyczerpany. Cena 25 centów.

*** *Kalendarz ludowy* na rok 1879 opuścił prasę nakładem Księgarni Polskiej. Jest to pierwszy kalendarz w Galicyi ułożony z pewną myślą przewodnią, mający na celu dobro czytelników. Zawiera oprócz zwykłych rubryk kalendarzowych i informacyjnych umiejętnie ułożoną część literacką: która się składa: z Chronologii książąt i królów polskich, Józef Bosak-Hauke (z ryciną), Zdrowaś Marya, wiersz Maryi Ilnickiej, Kęs chleba powiastka A Wilczyńskiego, Dzierżon i jego ul (z portretem), Rady gospodarskie przez doświadczonych gospodarzy zebrane, O gołębiach (z ryciną), O kretach (z ryciną), Lipa i jej użytki. Cena 33 ct..

*** *Lech-Czech-Rus*, powieść historyczna spółczesna przez Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) wyszła w Poznaniu nakładem księgarni N. Kamieńskiego i spółki.

*** *Choroby Galicyi* w latach 1866—1878, podpatrzone i opowiedziane przez dukata. Serya nowa. Napisał Józef Rogosz. Lwów 1879. Serya pierwsza *Chorób Galicyi* cieszyła się wielkiem powodzeniem Serya nowa zawiera: Handel i przemysł. — Na wsi.— Lichwa uprzywilejowana.

*** Czasopismo dziecinne „Świat“ wychodzić będzie od Nowego roku. nie dwa razy miesięcznie. lecz co tydzień, w formie arkusza o 16 stronicach ścisłego druku, z wielu rycinami w tekście. Wydawca nadto obniża cenę do połowy, to jest do 1·25 c. kwartalnie.

*** Liszt napisał wspaniałe oratoryum p. t.: „Św. Stanisław,“ z kolorytem polskich motywów, tekst włoski ma być Lenartowicza.— W tych dniach dzieło pomienione będzie wykonane po raz pierwszy w Rzymie.

*** Bronisław Grabowski jest przedmiotem gorących pochwał ze strony pism czeskich, za ostatnie prace swoje w Tygodniku Ilustrowanym. Dziennik „Lumir“ nazywając go zasłużonym literatem na polu studyów nad słowiańszczyzną, wyraża opinią, że nikt z miejscowych Czechów nie byłby lepiej opisał Pragi od niego.

*** Wyszedł obecnie z druku drugi tom „Pamiętnika instytutu w Puławach“.

Mieści on między innemi sprawozdanie o stanie instytutu za rok 1877, prace profesorów, prace studenckie, spis studentów i rezultaty obserwacyj meteorologicznych w ciągu 1877 r.

*** „Czwarty kongres leśny, jego obrady i zwiedzanie lasów, oraz zakładów przemysłowych,“ taki jest tytuł rozprawy p. Benedykta Aleksandrowicza z dodaniem jego wniosków niedoszłych pod obrady kongresu.

*** P. Zygmunt Przybylski wydał w Krakowie broszurę p. t. „Krytyka teatralna krakowska.“

*** Druk ciekawej pracy rozpoczął „Korepondent płocki.“ Tytuł jej: „Niektóre wiadomości o sąsiednich Prusach, etnograficzne, społeczne i ekonomiczne, zebrał Józef Bruzdowicz.“ Autor zamierza mówić wyłącznie o Prusach królewskich i książęcych, w dzisiejszej administracyi Zachodniemi i Wschodniemi zwanych, które od rzeki Drwęcy, a dalej od granicy północnej Płockiego, północno-zachodniej Łomżyńskiego, Augustowskiego i Litwy, rozpościerają się ku morzu Bałtyckiemu i ku Wiśle, a nawet kilkanaście mil za Wisłą, obejmując 1178 mil kwadratowych.

*** Towarzystwo zachęty sztuk pięknych przeznaczyło jako premię na rok 1879 medaljon Kraszewskiego z bronzu o dziesięciocalowej średnicy.

Po uwiadomieniu o tem artystów-rzeźbiarzy wpłynęło rychło ośm medaljonów mistrza naszej powieści.

Znajdują się one w dolnym salonie Towarzystwa i zwracają uwagę znawców i amatorów.

Prym co do podobieństwa trzyma medalion pana Ostrowskiego, płasko przytem a więc do bronzu traktowany, dalej przedstawia się tu korzystnie medaljon p. Pruszyńskiego, subtelnem zaś wykończeniem celuje praca p. Klossa.

Wyboru z pomiędzy dzieł tych dopełni komitet Towarzystwa w dniu 18 b. m.

*** Ruch umysłowy i literacki w Pradze Czeskiej. W poniedziałek d. 4. listopada odbyło się zwyczajne posiedzenie komisyi filologiczno-historycznej Królewskiego czeskiego towarzystwa nauk. Przedewszystkiem p. Józef Ireczek zdał sprawę z odkrycia, jakie uczynił dr. Beda Dudik przeglądając bibliotekę Załuskich w Petersburgu. Główną zdobycz wykrytą stanowią: „*evangelium ss. Cyryli et Methodi* (cirkevni służba sv. Civilla a Methodeje) ponieważ już w r. 1075, Synod postanowił aby ich pamiątkę obchodzono na Morawie. W modlitewniku tym znajduje się legenda dotąd nieznana, w antyfonach trzykrotnie wspominany Welehrad. Nadto dr. Dudik odnalazł dwa nieznane dotąd dzieła: Jana Amosa Komeńskiego, dalej dzieło arcybiskupa Arnoszta z Pardubic, z czasów Jerzego Podiebradzkiego; dzieło prawnicze niejakiego Kostky z Postupic z r. 1400. Wszystkie są po łacinie, czeskich dzieł dr. Dudik w bibliotece Załuskich nie znalazł żadnych.

Potem dr. Emler czytał o rocznikach staroczeskich. Dotąd o ile wiemy przechowały się roczniki, arcybiskupstwa praskiego i z czasów dawniejszych: strahowski i brzewnoski. Trzeci zeszyt czasopisma „Muzeum Królestwa Czeskiego“ (czasopis Musea Kralestvi Czeskeho), odznacza się bogactwem i rozmaitością treści. Zawiera następne rozprawy: Prof. Herm. Ireczka „jeszcze słowo o wyrazach „żupa“ i „żupan“ (przeciwko prof. Szemberowi); „o sporze miasta Budziejowic z Wielkimi Horami“ przez K. Tieftrunka biblia „Kralicka“ jej wpływ i stanowisko w literaturze czeskiej przez J. Smaha; o rękopismach czeskich w Zgorzelcu przez dr. J. Golla; ułamek Passowski psałterza staroczeskiego Józ. Truhlarza; rękopismy pamiątkowe polskie w Pradze Czeskiej przez A. Patera; dodatki i objaśnienia biografii dawnych czeskich pisarzów przez Fr. Dworskiego.

Nakładem Slavika i Boroweho wyjdzie w tym roku i przyszłym obszerne dzieło naukowe „geografia powszechna“ (wszeobecny ziemiepis); oparte na gruntownych badaniach naukowych, dzieło to odznaczać się ma popularnym wykładem i zawierać będzie zbiór wszelkich wyników badań do jakich nauka geografii w czasach najnowszych dosięgła.

Całe dzieło rozpada się na 3 części:

W części pierwszej, którą opracowywa prof. dr. Fr. Studniczka zawierać się będzie opis astronomiczny tj. wszystko co dotycze ziemi jako planety, stosunek do wszechświata w ogólności, a do słońca w szczególności.

Część druga zawierać będzie opis fizyczny, napisał ją prof. J. Krejczi, to jest pod względem geologii, ortografii, hydrografii, fauny i flory. W dal-

szym ciągu nastąpi dział etnograficzny czyli opis narodów z krótką wiadomością o czasach przedhistorycznych.

Część trzecią, stanowić będzie opis polityczny opracowany pod redakcyą prof. Jana Krejczego zawierać ma statystykę i topografię wszystkich części ziemskiego globu, jakoteż wszelkie wiadomości geograficzne.

Drzeworyty i mapki posłużą do łatwiejszego zrozumienia opisów.

Całe to dzieło składać się będzie z 35 do 40-tu zeszytów 4-o arkuszowych w wielkim formacie.

*** Kapitan Karol *Weyprecht* dowódzca wyprawy podbiegunowej austryackiej wydaje w Wiedniu wielkie dzieło o lodzie polarnym: *Die Metamorphosen des Polareises.*

ROZMAITOŚCI.

DZIENNIKARSTWO W ANGLII.

Prasa peryodyczna jest dziś, niezaprzeczenie, wielką społeczną potęgą. Jest ona niejako zwierciadłem, w którem znajdują swoje odbicie umysłowe, ekonomiczne i moralne prądy, jakie nurtują w życiu dzisiejszych społeczeństw. Prądy te, zogniskowane w zwierciadle prasy stają się pełne, świadome, wyjaśniają się — nabierają konturów wyraźnych, nawet ostrych a zestrzelone w ten sposób ich światło przyświeca temuż społecznemu życiu, z którego wzięło swój początek, jasne zaś i ożywcze promienie jego sięgają daleko i szeroko, oświecając najdrobniejsze zakątki zbiorowego życia lub godząc w nie słowem krytyki, która walczy nieraz ostrzem sztyletu.

Anglia, wskutek nader rozwiniętego społecznego życia cieszy się mnogością i doborem prasy. W Zjednoczonem Królestwie wychodzi 1.040 pism peryodycznych, z których 342 w samym Londynie. Z liczby pism londyńskich dziewiętnaście jest tylko dzienników — czternaście porannych i pięć wieczornych. Gazety angielskie nie znają prawie prenumeraty; sprzedają się pojedyńczemi numerami. Dane te wraz z temi, które przytoczymy poniżej, bierzemy z raportu p. Bernhardta, przedstawionego na bibliograficznym kongresie międzynarodowym, czerpiąc je z drugiej ręki. Są one bardzo świeże i interesujące.

„Times“ wychodzi od roku 1788; obecnym jego właścicielem jest p. Wolter, członek parlamentu — głównym redaktorem p. Chinnery. Drukuje się w liczbie 30.000 egzemplarzy. W razie potrzeby odbijają drugie i trzecie wydanie. Ogłoszenia stanowią własność odrębną od samej gazety, a nawet rubryka ogłoszeń o urodzeniach, ślubach i pogrzebach stanowi osobny i piękny dochód dwóch starych panien.

W kwestyi przekonań politycznych „Times“, pozostaje wiernym swemu nazwisku, zmieniając je stosownie do czasu. Obecnie bije czołem przed lordem Beaconsfieldem. Mimo to świat cały czytuje dziennik, a jego korespondencye zrobiły mu sławę w całym świecie ucywilizowanym. „Times“ nie może się już teraz uważać za herolda konserwatyzmu, uczuć patryotycznych i służyć wzorem doborowego języka. Element cudzoziemski, szczególniej między korespondentami zaczyna być coraz silniej reprezentowany. Cena numeru trzy pensy (10 cent.) Od 1. stycznia 1877 r. „Times“ odbija co piątek, osobne wydanie tygodniowe, w którem mieszczą się główniejsze artykuły i większa część korespondencyi, zamieszczonych w ciągu tygodnia. Dla literatury, teatrów i sztuk pięknych w gazecie wyznaczono bardzo szczupłe miejsce.

„Morning Post“, jest najstarszą z londyńskich gazet politycznych, wychodzi bowiem od 1772 roku. „Poczta poranna“ sprzedaje się także po 3 pensy i drukuje w liczbie 10.000 egzemplarzy.

W kwestyach religijnych, gazeta należy do partyi anglikańskiego kościoła. w polityce wyznaje zasady wigów — w czasach jednak ostatnich, przestraszona rozrostem radykalizmu schroniła się pod sztandary konserwatywne. Właścicielem i radaktorem gazety jest niejaki p. Borthwick. Gazeta ta była ongi organem lorda Palmerstona. W sprawie wschodniej „Morning Post“ broni tradycyjnej polityki angielskiej i energicznie popiera lorda Beaconsfielda. Jest ona dziś organem arystokracyi i kroniką warstw bogatych. Ma licznych i dobrych korespondentów, szczególniej w koloniach. Zamieszczane w niej artykuły z dziedziny literatury, nauki i sztuk, cenione bywają wysoko.

„Daily Telegraph“ założonym został w r. 1855; numer kosztuje pensa, odbija się w liczbie 170.000 egzemplarzy — należy więc do najbardziej rozpowszechnionych gazet na świecie. Właścicicielem jej jest p. Lewi, pierwszy, który zdecydował się założyć tanią gazetę, której powodzenie przeszło wszelkie oczekiwania. Język tej gazety ludowej nie odznacza się zbytnim doborem wyrazów i bywa często przesadzony; charakteryzuje ją pewien ślepy patryotyzm. Redaktor jest człowiekiem bardzo przedsiębiorczym i on to, wspólnie z „New-York Heraldem“ wysłał Stanleya do Afryki i George'a Smitha dla zbadania starożytności assyryjskich. We względzie przekonań politycznych gazeta staje zawsze po stronie rządu, niezależna od jego politycznej barwy. Niedawno schlebiała Gladstonowi; obecnie kadzi Beaconsfieldowi.

„Standard“ wsławił się ogromnym formatem. Założony w r. 1827 dla obrony konserwatywnych poglądów, był w początku wydaniem wieczornem gazety „Morning Herald“, której miejsce zajął w następstwie. Jest równie prawie rozpowszechnionym jak i „Daily Telegraph“, jest jednak od tego ostatniego poważniejszym. Spotykają się w nim czasami artykuły zasługujące na uwagę. Jakkolwiek „Standard“, uważa się za stronnika partyi konserwatywnej, wobec jednak jej wodzów zajmuje stanowisko niezależne i często wypowiada im gorzkie prawdy bez ogródek. W czasie wojny 1870—1871 gazeta trzymała stronę Francyi. „Standard“ — jedyna gazeta angielska mająca wydanie wieczorne.

„Deily News“ założoną została 21. stycznia 1846 r. i była pod wpływem hr. Russela. Kosztuje pensa i służy za organ krańcowego liberalizmu. Jakkolwiek prowadzoną jest z niezaprzeczonym talentem, to jednak obecnie nie cieszy się zbyt obszernem kołem czytelników. Od roku 1873 zasady krańcowo-liberalne nie mają w Anglii tak licznych wyznawców jak dawniej.

„Morning Advertiser“ wychodzi od r. 1794 i sprzedaje się po trzy pensy. Ustępuje o wiele dziennikom poprzednim we względzie wpływu i liczby czytelników. Broni zasad liberalnych, niepodległych i konstytucyjnych; jest jednak przytem organem restauratorów i uwzględnia przedewszystkiem ich wymagania.

„Daily Chronicle“ założony został w r. 1855 kosztuje pensa, jest organem liberalnym, bez wielkiego jednak wpływu.

„Coming Evens“ założony w r. 1877 należy dopiero do przyszłości.

Z pomiędzy gazet wieczornych na wyróżnienie zasługuje „Pall-Mall-Gazette,“ będąc jednem z najznaczniejszych codziennych wydawnictw Anglii; odznacza się bardzo dogodnym formatem, wychodzi bowiem w formie kajetu o 16 stronicach, w ósemce, prowadzoną jest z talentem i przeznaczoną dla wykształconych czytelników. Cechuje ją jednak pewien pedantyzm zarówno we względzie polityki jak i literatury. Gazeta wyznaje zasady liberalne, biczuje jednak ustawicznie liberałów. Zajmuje się też pilnie literaturą, co w części tłómaczy się okolicznością, że wydawca jej Smith i spółka jest jednym ze znaczniejszych księgarzy londyńskich. Firma ta ma też dosyć rozgałęzione stosunki z Indyanami, wskutek czego gazeta pisze wiele o tym kraju, broni zresztą tradycyjnej polityki Anglii na Wschodzie. Pall-Mall-Gazette wychodzi zwykle trzy razy dziennie i kosztuje dwa pensy. Za przykładem „Timesa“ wydaje co tydzień zeszyt pod tytułem: „Pall-Mall-Budget.“ Toczy uparcie polemikę z „Timesem.“

„Evening Standard“ jest wieczornem odbiciem porannego Standarda.

„Globe“ założony w r. 1803 jest organem partyi konstytucyjno-konserwatywnej. Jest własnością członka parlamentu Cobitta, kosztuje pensa, wychodzi w formie, „Pall-Mall-Gazette“ i drukuje się na różowawym papierze.

„Echo“ wychodzi od r. 1865; jest najmniejszą i najtańszą z gazet londyńskich; kosztuje pół pensa. Komunikuje swym czytelnikom liczne a rozmaite dzienne nowiny i daje sprawozdanie z głównych artykułów gazet porannych. Jestto gazetka bez barwy i powodzenia.

Prócz powyższych gazet codziennych, w Londynie wychodzą cztery gazety trzy razy na tydzień, jedenaście, dwa razy, trzydzieści siedm — jeden lub dwa razy na miesiąc. Pozostałe wydawnictwa są tygodniowe, w liczbie tych ostatnich są i polityczne z których ważniejszemi są następujące:

„Examiner“ założony w r. 1808; wychodzi w sobotę i broni przekonań radykalnych. Prowadzony jest z talentem i bezstronnie.

„Observer“ założony w r. 1794 jest jedynem pismem angielskiem, które w niedzielę rano drukuje najnowsze wiadomości krajowe, zagraniczne i zamieszcza recenzye teatralne. Numer pisma kosztuje cztery pensy.

„Saturday Review“ z chwilą pojawienia się w r. 1855 zwrócił na siebie powszechną uwagę ostrą i nieugiętą krytyką i pewną tajemniczością, jaką się osłania redakcya. Pismo nie podaje gołych jedynie wiadomości, lecz robi nad niemi sweje uwagi.

„Spectator“ wychodzący od r. 1828 na początku każdego numeru drukuje kronikę wiadomości z tygodnia, ubraną w formę nieco humorystyczną; zajmuje się też literaturą i sztuką. Kosztuje sześć pensów.

Artykuły polityczne zamieszcza także „The Economist,“ założony w r. 1873, który cieszył się wielką popularnością pod redakcyą znanego „Bagehota.“ Ze śmiercią jednak tego publicysty wiele stracił na wartości. Kosztuje 8 pensów za numer.

Takiemi są, prócz wielkich miesięczników jak „Edimburg-Review,“ „Westminster-Review“ i „Quarterley-Review“ — główniejsze organy prasy angielskiej, które korzystając z swobody słowa, zdołały zdobyć dla niej zaszczytną i słuszną nazwę „czwartej władzy państwowej.“ Pierwsze trzy władze są: królowa, lordowie i gminy.

KRWAWA TAJEMNICA.

Z BIEŻĄCEJ KRONIKI PARYŻA.

Jeżeli życie paryzkie rzadko bywa poematem, to za to częściej niżby kto sądził — i niżby należało — przybiera formy sensacyjnej, à la Ponson du Terai̇lle, powieści....

Na bruku nadsekwańskiej stolicy, obok cnot ewangelicznych, bujnie krzewią się wszystkie grzechy główne i wszystkie grzeszki powszednie, wprowadzające w życie zawikłania, kończące się nierzadko — tragedyą.

Kupido, zamiast klasycznego i wyszłego z mody łuku, zbroi się tam często w sztylet lub rewolwer... Cytera bywa tylko stacyą przy gościńcu wiodącym na gilotynę....

Ile razy war namiętności poderwie pokrywę codziennego życia i gorącym potokiem jawnie się rozleje, wówczas lud bawi się tym widokiem, jak Rzymianie cyrkowemi zapasami....

A zabawy tej nie braknie mu nigdy, bo nad piękną, zieloną Sekwaną, dzień każdy przynosi nowe namiętności i nowe — zbrodnie...

Dziś oto, na żer temu ludowi niesytemu, rzucono dramat tajemniczy, powikłany tak kunsztownie, jakby go scenizował sam Wiktor Hugo, niemożliwy prawie do rozpętania i trzymający do tej chwili ciekawość Paryżan w gorączkowem natężeniu....

Osobami dramatu są — Polacy...

Wyjątkowa ta okoliczność skłania nas do opowiedzenia jego treści.

Być może, iż początek jednej z poplątanej nici tej sprawy, odnajdzie się w jakim zakątku naszego miasta lub kraju.....

. . . .

We wtorek, ósmego października, prokurator, rzeczypospolitej w Wersalu, otrzymał list z Paryża.

W liście tym, podpisanym jedną tylko literą R., donoszono mu, że pr ed trzema dniami młody Polak nazwiskiem Renowicz, zastrzelony został przez kobietę na moście Chatou.

To było na jednej ćwiartce listu.

Na drugiej znajdowały się następujące słowa, niewieścim charakterem skreślone:

„Ja niżej podpisana przyznaję, że fakta w załączonym liście opisane są najzupełniej prawdziwe.

Bella de H.....

Saint-Germain; ulica...“

Nazwisko piszącego i adres, oznaczone były wyraźnie, wszystkiemi literami, dyskrecya wszakże dziennikarska na rozgłaszanie tych szczegółów nie pozwala.

Prokurator, natychmiast po odebraniu listu, wezwał

sędziego śledczego Lambinet'a i oddał mu tę dziwną sprawę do rozpoznania.

Sędzia w pierwszej chwili przypuszczał, że to mistyfikacya....

— Niemniej jednak — dodał — obowiązkiem jest naszym rzecz tę zbadać i rozjaśnić.

Obaj urzędnicy udali się niezwłocznie do Saint-Germain.

Spotkawszy na placu milicyanta, zwrócili się do niego z zapytaniem, czy zna pannę de H.?

— Znam — odpowiedział milicyant. — Należy ona do zacnej i powszechnie szanowanej rodziny i mieszka wraz z ojcem i matką w dawnym pałacu dworskim na ulicy....

Zapytany o bliższe szczegóły o pannie, dodał, że ma ona lat 23, że odznacza się usposobieniem ekscentrycznem, jeździ konno, strzela i fechtuje się....

— Prowadź nas do niej — rozkazał prokurator.

W kilka chwil potem, wszyscy trzej stanęli przy mieszkaniu rodziny H.

Prokurator polecił milicyantowi usunąć się i czekać w pobliżu, sam zaś zadzwonił.

Na głos dzwonka, drzwi się otworzyły i zjawił się w nich starzec z twarzą dostojną i wzbudzającą uszanowanie.

— Chcemy pomówić z panem baronem H. — odezwał się prokurator.

— Ja nim jestem — odrzekł starzec.

— Panie baronie — przemówił sędzia śledczy — czy pozwolisz, żebyśmy pomówili na osobności z córką pańską, Bellą?

— Jak najchętniej, panowie.

I stary arystokrata, wprowadziwszy urzędników do salonu, sam cofnął się dyskretnie.

Po chwili w salonie zjawiła się młoda dziewica, o figurze wyniosłej, o wyrazie twarzy śmiałym i niepowszednim...

Ubrana była w powłóczystą suknię z popielatego kaszmiru, która bardziej jeszcze uwydatniała jej wzrost wysoki.

— Czego życzycie sobie panowie? — spytała uprzejmie przybyłych.

— Czy znasz pani ten list? — odezwał się prokurator, pokazując jej pismo oskarżające.

— Jak najdoskonalej — rzekła pewnym głosem.

— W takim razie pozwól pani, żebyśmy przedstawili ci się oficyalnie. Ja jestem prokuratorem Rzeczypospolitej, a kolega mój sędzią śledczym.

Dziewica nie okazując najmniejszego zdziwienia, wskazała urzędnikom krzesła i sama usiadłszy, poczęła opowiadać im szczegóły nocnego dramatu na moście Chatou...

Gdy skończyła, sędzia śledczy odezwał się:

— W tej chwili musimy wypełnić jeszcze jeden przykry dla nas obowiązek. Racz pani udać się z nami do komisarza policyi, przed którym odbyć się musi urzędowe przesłuchanie.

— Z ochotą — rzekła. — Pozwolicie tylko panowie, że się przebiorę.

Urzędnicy nie śmieli odmówić jej pozwolenia, wyszła więc swobodnie z salonu...

Gdy przez kilka minut nie było jej widać z powrotem, prokurator zaniepokoił się...

— A jeżeli ta nieszczęśliwa życie sobie odbierze? — szepnął do towarzysza z obawą.

W tej chwili wszakże panna H. ukazała się w salonie, przygotowana do wyjścia.

Przesłuchanie u komisarza odbyło się prędko.

Dziewica powtórzyła na niem dosłownie to wszystko, co wprzód jeszcze wyjawiła prokuratorowi i sędziemu.

Umieszczono ją prowizorycznie w więzieniu wersalskiem.

. . . .

Jakież to zeznanie uczyniła młoda baronówna urzędnikom Rzeczypospolitej?

Zanim odpowiemy na to, wprzód słówko o niej samej.

Panna Bella de H., jak już wspomniano wyżej, nie jest kobietą powszednią. Przyzwyczajenie do ćwiczeń fechtunkowych i do konnej jazdy wyrobiło w niej prawie męzką energię charakteru, przebijającą się nawet w powierzchowności i w ruchach śmiałych, prędkich, zdecydowanych.

W rozmowie, panna H. jest ujmującą i zdobywa sobie sympatyą, której z pozorów sądząc, niejedenby jej odmówił.

Nie jest ona „pięknością“ w zwyczajnem znaczeniu tego słowa, ale posiada przepyszne włosy, koloru blond ze żółtawym odcieniem, duże czarne oczy i prześlicznie zarysowane usta, które szczególniej w uśmiechu, czarują...

W roku 1873, mając lat siedmnaście, Bella poznała młodego Polaka Romana Regalewskiego, który zakochał się w niej do szaleństwa.

Jedni twierdzą, że Regalewski był malarzem, inni znów, że inżynierem.

Panna zdawała się podzielać uczucia młodzieńca, który też niezadługo oświadczył się formalnie o jej rękę.

Baron H. odrzucił te oświadczyny brutalsko i nieodwołalnie...

Regalewski szalony z rozpaczy, udał się nocą na ustronny most Chatou i tam wystrzałem z rewolweru życie sobie odebrał.

Panna jak na to zgadzają się wszyscy bliżej ją znający — wiadomość o śmierci kochanka przyjęła ze spokojnym i bezlitośnym stoicyzmem...

Ponieważ jeszcze przed fatalnemi oświadczynami, oboje młodzi korespondowali ze sobą, baronówna zapragnęła koniecznie dostać do rąk listy pisywane do Regalewskiego.

Listów tych, pomimo najusilniejszych starań nie odnaleziono, upewniła się zatem, że samobójca zniszczył je przed śmiercią.

Ale niemałe było jej zdziwienie, gdy w roku bieżącym, przed czterema miesiącami, otrzymała niespodzianie list podpisany imieniem i nazwiskiem nieżyjącego młodzieńca, w którym to liście donoszono jej, że korespondencya wiadoma istnieje i że gdy chce, może ją odebrać za wynagrodzeniem.

List nie wskazywał jednak ani rodzaju wynagrodzenia, ani miejscowości, w której owa korespondencya ma się znajdować.

W zamian za to, pełno w nim było gniewnych wyrzutów i złorzeczeń przeciwko, tej która się stała powodem śmierci młodego, pełnego nadziei Polaka...

Po tym pierwszym liście nastąpiły inne, w podobny sposób ułożone i nie podające bliższych wyjaśnień.

Nareszcie 5 października Bella otrzymała list, w którym proszono ją o przybycie na most Chatou, o godzinie jedenastej w nocy.

Po naradzeniu się z rodzicami, którzy pokładają nieograniczone zaufanie w jedynem swem dziecku, udała się sama na wskazane miejsce.

Inna kobieta nie odważyłaby się z pewnością na ten krok ryzykowny, ale wiemy już, że baronówna należała do kobiet wyjątkowych, zdumiewająco śmiałych i pewnych siebie...

Na moście znajdowało się dwóch mężczyzn.

Jeden z nich, zaledwie dostrzegł przybywającą, rzucił się do niej z krzykiem:

— Nędznico! zamordowałaś mego najlepszego przyjaciela! Strzeż się, jesteś teraz w mojej mocy!

— Sądzę — odezwała się na to Bella spokojnie — że nie po to wezwałeś mnie pan, żeby obrzucać obelgami. Chcesz zapewne pieniędzy? — Zgoda, mam je przy sobie. A teraz: gdzie są moje listy?

Nieznajomy przyprowadzony do wściekłego gniewu zimną krwią dziewicy, ponowił złorzeczenia i zarzucając ją obelżywemi wyrazami, zamierzył się na nią.

Wówczas Bella wydobyła ukryty pod okryciem rewolwer i skierowała go ku napastnikowi...

Towarzysz widząc to, rzucił się pomiędzy nich i kula przeznaczona tamtemu, jego ugodziła.

Zachwiał się i potoczył ku poręczy mostu, a że poręcz ta wyjątkowo jest nizka, więc wpadł do rzeki, wydając krzyk przeraźliwy...

Sekwana pełna jest w tem miejscu wirów gwałtownych. Fala w mgnieniu oka pociągnęła nieszczęśliwego na dno i zatopiła.

Towarzysz uciekł.

Bella powróciwszy do Saint Germain, opowiedziała wszystko rodzicom. Łatwo wystawić sobie przerażenie dwojga starców, którzy głowę stracili, nie wiedząc co począć i czekając z drżeniem serca następstw nieszczęśliwego zajścia.

W poniedziałek, 7 października, nadszedł nowy list, podpisany przez Romana Regalewskiego. Tym razem autor listu oświadczył gotowość oddania korespondencyi w zamian za wynagrodzenie pieniężne i donosił, że wieczorem tegoż dnia będzie czekał na Bellę w Palais Royal, w galeryi orleańskiej.

Bella, uzbrojona jak i dawniej, w rewolwer, udała się na schadzkę.

Nieznajomy znajdował się na stanowisku.

— Listy! oddaj mi moje listy! — krzyknęła rozkazująco, zbliżając się do niego.

Nieznajomy zawahał się...

— Słuchaj — podjęła namiętniej jeszcze — chcesz dziesięć, pietnaście, dwadzieścia tysięcy franków — dam ci tę sumę, ale mi zwróć listy!

— Zgoda — odrzekł tamten po namyśle — ale ja listów nie mam przy sobie. Znajdują się one u jednego z moich przyjaciół. Jeśli chcesz pani, pojedziemy po nie...

Bella przystała.

Siedli oboje do fiakra i pojechali na ulicę wskazaną przez nieznajomego.

Gdy znalezli się w mieszkaniu, towarzysz baronówny zawołał:

— Pieniądze!

— Najprzód oddaj listy! — odparła Bella.

Ale zamiast listów, nieznajomy począł częstować ją znowu obelgami.

— Nędznico! — mówił — niedość, żeś spowodowała śmierć Regalewskiego, ale zabiłaś także mego przyjaciela Renowicza! Nie wyjdziesz ztąd, dopóki nie podpiszesz zeznania, że ty a nie kto inny, spełniłaś tę zbrodnię!

— Oh! z ochotą! — zawołała dziewica i chwytając pośpiesznie za pióro, nakreśliła na ćwiartce listowego papieru żądane świadectwo.

Następnie, wprzód zanim nieznajomy zdążył się opamiętać, wybiegła z mieszkania.

. . . .

Co się później stało, wiemy — dodać jednak trzeba, że do dnia dzisiejszego, mimo największych wysiłków barona H., oraz mistrzowskiego śledztwa, rozwiniętego przez policyę paryzką, nie zdołano odszukać człowieka, mieniącego się Romanem Regalewskim...

Nie znaleziono też zwłok Renowicza.

Bella, czekając rozwikłania intrygi, pędzi smutne chwile w celi wersalskiego więzienia...

Wszystkie dzienniki europejskie umieściły powyższy opis tragicznego wypadku. Pokazało się jednak, że to zdarzenie w rzeczywistości nie miało miejsca i podobnych nawet nazwisk polskich nie wykryto. Cały ten wypadek powstał był w chorobliwej fantazyi panny B. de H., którą uznano, że ma — pomięszanie zmysłów.

Od Redakcyi.

Medal na cześć J. I. Kraszawskiego rozesłaliśmy tym Panom, którzy przedpłatę na takowy na ręce nasze nadesłali.

Również rozesłaliśmy „*Złote myśli*“ egzemplarze nieoprawne. Oprawnych egzemplarzy dotąd od wydawcy p. N. Kamieńskiego z Poznania nie otrzymaliśmy.

Treść Nr. 65.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.